Nr. 12. Poznań, Niedziela 24go Marca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

WIDMA.

W pamiętniku Koła polskiego w parlamencie niemieckim.

—

I.

Wieść dziwna idzie po miastach i wsiach prowincyi naszych. Koło polskie w parlamencie niemieckim postanowiło podobno głosować za „ustawą przewrotową“ z uwzględnieniem dodatków, podyktowanych przez katolickiego posła Rintelena. Według naszych informacyi uchwała ostateczna i oficyalna nie zapadła jeszcze, ale „Nieśmierlelni“ lojalizmu polskiego, — owi niezmordowani protektorzy życzeń tronowych, — owi maszyniści zakulisowi, urabiący opinią posłów na dyskretnych schadzkach, — owi fanatycy rządowego katechizmu już zapewnili sobie większość głosów wśród reprezentantów polskich w parlamencie i ze spokojem oczekują decydującej sesyi, która o stanowisku Koła naszego rozstrzygnie. Za prawdopodobieństwem tej zatrważającej wersyi przemawia stanowisko posłów naszych w komisyi, wysadzonej w sprawie „ustawy przewrotowej“, bo trudno nam uwierzyć, aby polscy członkowie tej komisyi hołdowali na własną odpowiedzialność reakcyjnym zakusom. Przypuścić raczej należy, że to polskie *„placet“*, które rozbrzmiewało tylokrotnie w referatach dziennikarskich złowróżbnem echem, podyktowane było nie opinią jednostki, lecz opinią Koła.

Posłowie polscy w parlamencie niemieckim gotowi zatem powtórnie stanąć przeciw większości społeczeństwa polskiego, — gotowi poświęcić najświętsze ideały humanitarne i dobrze zrozumiany interes narodu dla tronowych mamideł, — gotowi uchylić czoła przed ustawą, ktora jest mrokiem stężałym.

Już w roku 1875 pojawił się projekt podobnej ustawy w parlamencie niemieckim, a wonczas reprezentanci ludu jednomyślnie nieomal wystąpili przeciw widmu reakcyi. W rzędzie stanowczych przeciwników ówczesnego projektu stanęli również posłowie polscy, protestując w interesie ojczyzny i cywilizacyi przeciw despotycznemu pogwałceniu swobody myśli i słowa. Dziś inne prądy zawiały w tem gronie, które mieni się „wybrańcem“ narodu, a kopie przepaść głęboką między sobą a społeczeństwem, — dziś doczekamy się może godziny, w której przedstawiciele ludu polskiego przyłożą rękę do tego, co pod niewinną etykietą walki z przewrotem stanie się kajdanami i nocą narodu.

„Nowa ustawa nie jest prawem wyjątkowem“, — tak mówią obrońcy reakcyi, — ale twierdzenie to, przybrane w ułudne pozory słuszności, nie wytrzymuje poważnej krytyki. Jeżeli bowiem rząd niemiecki oświadcza, że celem nowego projektu jest „przeciwdziałanie zakusom, zmierzającym do zakłócenia spokoju publicznego“, to nasuwa się natychmiast pytanie, dla czego ową opiekę nad „publicznym spokojem“ w jednym tylko zwrócono kierunku, — dla czego przewrót „z dołu“ otrzymać ma rygle i barjery, a ewentualny przewrót „z góry“ bujać może swobodnie. Dla zrozumienia zarzutu naszego zwracamy uwagę na § 130 rządowego projektu, opiewający, że karze więziennej aż do dwóch lat ten podlegać będzie, kto *„religię, monarchię, małżeństwo, rodzinę i własność obelżywemi (beschimpfend) orzeczeniami w sposób zagrażający pokojowi* (in Frieden gefährdender Weise) *publicznie zaczepia“*. Nie przeczymy bynajmniej, że instytucye w paragrafie tym wymienione należą do ważnych składników istniejących stosunków prawo-państwowych, ale zapytujemy się, czemu wśród tych składnikow nie wymieniono: konstytucyi niemieckiej, prawa wyborczego, równości wobec prawa i wiele innych swobód obywatelskich, — czemu ten, kto te najświętsze ideały ludu, zdobyte krwią i życiem tysięcy, zaczepia, piastuje w obliczu prawa przywilej bezkarności, a więzienie zagraża temu kto zwróci się z krytyką namiętną przeciw monarchii lub bieżącym pojęciom własności? Wieje tu zatem duch ustawy wyjątkowej i chyba nikt wątpić nie będzie, że projekt rządowy inną miarę przykłada do tych, którzy krytykują obecny porządek rzeczy, pragnąc coraz szerszego rozwoju stosunków w kierunku liberalnym i demokratycznym, niż do tych, którzy rozwój ten pragną powstrzymać lub cofnąć i gotowi nawet zalecać złamanie konstytucyi dla urzeczywistnienia swoich reakcyjnych dążeń.

Pomijając jednak tę nierówność w obliczu prawa obudzić musi § 130 mimo pozornych zastrzeżeń, poważne wątpliwości. Nie uwzględniając nawet potwornych obostrzeń, wprowadzonych wśród obrad komisyjnych do tego rozdziału rządowego projektu przez reprezentanta stronnictwa centrum, Rintelena, dopatrujemy się w § 130 groźnego niebezpieczeństwa dla swobody myśli ludzkiej i badań naukowych. Pozornie zdawaćby się mogło, że ograniczenia tkwiące we wyrazach: zaczepiać *w sposób zagrażający pokojowi obelżywemi (beschimpfend) orzeczeniami* religię, monarchię, małżeństwo, rodzinę i własność, jest zbrodnią, podlegającą karze dwuletniego więzienia“, — pozornie zdawaćby się mogło, powtarzamy, że forma paragrafu tego nadużyciom ze strony władz sądowych zakłada skuteczne hamulce. W rzeczy samej jednak tak nie jest.

Pojęcie „obelżywych orzeczeń“ posiada w praktyce sądowej przedziwną elastyczność, a doświadczenie uczy, że często to, co przeciwnik spornej idei uważa za umiarkowaną krytykę, fanatyczny zwolennik tej idei odczuwa jako obelgę. Instytucye wymienione w powyżej cytowanym paragrafie nie są bynajmniej skończoną doskonałością, lecz posiadają przeciwnie poważne strony ujemne, które z natury rzeczy podlegać muszą krytyce. Mówią nam wprawdzie „motywa“, załączone do rządowego projektu, że nikt krytyce nie stanie na przeszkodzie, jeżeli krytyka ta nie zmierza do agitacyjnych celów i unika obelg, — ale czyż każda idea reformacyjna, nie mieści w sobie pierwiastku agitacyjnego, czyż każda proklamacya tej idei nie jest agitacyą, czyż wreszcie w otwartem wyznaniu, że ta lub owa instytucya, uchodząca w oczach wielu za „świętość“, jest bezwartościową lub szkodliwą, nie dopatrzą się obelgi bałwochwalcy krytykowanego przedmiotu? Sędzia niemiecki jest tylko człowiekiem, a nastrojony na jedną społeczno-polityczną nutę, gotów każdą inną za rozdźwięk „obelgi“ poczytać. My Polacy posiadamy interesującą historyą politycznych procesów z Bismarckowskiej ery, a w procesach tych więcej niż gdziekolwiek zamanifestowało się niebezpieczeństwo jurydycznego subjektywizmu na politycznym podkładzie.

Również i drugie ograniczenie rzeczonego paragrafu nie usuwa wątpliwości naszych, bo

lubo paragraf wymierzony jest tylko przeciw takim zaczepkom, które pociągnąć mogą za sobą *„zakłócenie spokoju publicznego“*, to dotychczasowe wyroki sądu rzeszy przekonały nas, że pojęcie owego „zakłócenia“ gnie się i urabia jak wosk. Fakt „zakłócenia“ stwierdzano nawet w takich wypadkach, w których krytyka istniejących urządzeń nie zakłócała *bezpośrednio* spokoju publicznego, lecz tworzyła atmosferę, z której ewentualnie w przyszłości „zakłócenie“ wyłonić się mogło. Taką interpretacyą oczywiście każdą krytykę dosięgnąć można karzącą ręką prawnej ustawy, a rząd niemiecki wyzyskałby ją z pewnością dla „poskromienia“ niewygodnych oponentów.

Nie ulega żadnej wątpliwości że projekt rządowy stanowi hamulec dla poważnej krytyki naukowej, lubo przyznajemy z drugiej strony, że ostrze jego zwraca się przedewszystkim przeciw popularyzacyi nowoczesnej wiedzy. Tam, gdzie plon zebrany przez uczonych, gdzie ideę zrodzoną w mózgu filozofa lub myśliciela, rzuca między tłum szeroki popularyzator, — tam z natury rzeczy forma publikacyi przekroczy z łatwością granice prawa nowego. Uczony pracujący spokojnie w zaciszu cichego ustronia dobierać może zwrotów omijających kolizyę z ustawą rządową, ale dziennikarz, działacz polityczny, mówca ludowy, skazany na posługiwanie się formą przystępną i efektowną, nie mający czasu na szukanie ostrożnych słówek i osłonek, pracujący gorączkowo wśród zgiełku aktualnego życia, staje się ofiarą paragrafu, wiszącego jak miecz Damoklesa nad jego głową. I o jednem jeszcze zapominać nie wolno. Nie prasie jedynie lecz szerokim tłumom zagraża nowa ustawa, bo dziennikarz rutynowany prędzej jeszcze ominie szkopuły prawne niż ten wygodny, nie wyćwiczony w gimnastyce stylowej obywatel, który po ciężkiej pracy bawi się w publicznym lokalu w politykę lub filozofją i z swadą i rozmachem proklamuje w obec grona towarzyszy kufla lub kieliszka swoje, często bardzo radykalne teorye. Któż najwięcej cierpi pod obuchem prawa dotyczącego obrazy majestatu? Czy uczony rewolucyonista, czepiający się monarchicznego systemu, czy pan *Quidde* wojujący tak „uczenie“ z cesarzem niemieckim, czy dziennikarz urągający nieraz między wierszami tronowi? Przejrzyjcie statystykę wyroków. Nam się wydaje, że największy procent skazanych o obrazę majestatu rekrutuje się z wielkiego tłumu ludzi prostych i nie „wyćwiczonych.“ Ta analogia stanowi groźne „Memento“. Nowa ustawa rządowa z ludu brać będzie ofiary swoje.

I cóż zresztą osięgnie ten słynny paragraf 130? Czyż powstrzyma ferment i opozycyę w masach szerokich, czyż sparaliżuje literaturę niewygodną? Nie! to, o czem dzisiaj głośno się mówi bezkarnie, zamieni się w szept ponętny, bo osłonięty urokiem tajemniczości. Z rynków publicznych cofnie się opozycya w „kółka zamknięte“, w związki i schadzki tajemne. Niecenzuralna literatura krążyć zacznie z rąk do rąk sekretnie, a tłum pochłaniać ją będzie tem chciwiej. Jest to polityka „małych środeczków“, polityka „śpileczek“ którą rząd pruski znowu prowadzić zaczyna, a posłuży ona chyba ku temu, że sprawi raz po raz drobną satysfakcyę sferom, rozgoryczonym zuchwałą opozycyą, że spotęguje liczbę denuncyantów i wykarmi w społeczeństwie obłudę.

Rząd niemiecki wyraża w nowej ustawie pragnienie, aby istniejący ustrój państwowy zasłonić szczelnie przed powiewem ostrzejszej krytyki, i gdyby projekt stał się prawem obowiązującem, nastąpiłaby era szykan niemiłosiernych i gry najniższych instynktów. Mamyż przy każdem swobodniejszym słowie stawiać sobie trwożne pytanie, czy przypadkiem opinje nasze nie są obelgą własności, małżeństwa, religii lub monarchii, czy przypadkiem nie „narażają spokoju publicznego?“ Nie potrzeba być socyalistą, tylko człowiekiem zasad humanitarnych, dla którego swoboda myśli jest więcej niż przebrzmiałym frazesem, marnem świcidełkiem lub *zbytecznym* prawem, aby zaprotestować energicznie przeciw tendencyom rządu niemieckiego. Na szczęście losy, których w komisyi doznał paragraf 130, pozwalają wróżyć, że cios śmiertelny oczekuje go również w plenum parlamentu, gdyby wnioskodawcy pokusić się mieli o powtórną walkę, a musieliby chyba posłowie polscy źle zrozumieć interes narodu i zdeptać wszystkie humanitarne tradycye naszego porozbiorowego istnienia, gdyby głosy swoje rzucili na szalę reakcyi.

Wrogich idei nikt paragrafami zwalczyć nie jest w stanie, a ryglowanie ust jest zawsze dowodem bezsiły państwowej. Rewolucyjnych tendencyi *Hauptmannowskich „Tkaczy“* nie sparaliżuje zakaz policyjny, a przeciwdziałać im może skuteczniej krytyka swobodna i geniusz równy — na przeciwnym biegunie. Hauptmanna-rewolucyonisty nie zdusi żandarm niemiecki, lecz zwyciężyć go może Hauptmann inny, *Hauptmann-konserwatysta.*

POLITYKA.

W obronie wolności.

—

(*Ernest Freiherr von Wolzogen. Links um! Kehrt! Schwenkt! Trab! Berlin 1895 r.*)

Z pomiędzy licznych głosów, które się w obecnym czasie wśród narodu niemieckiego przeciw projektowi antiprzewrotowej ustawy odzywały, najciekawszym, najwięcej znaczącym jest zapewne protest w powyższej broszurze zawarty. Doniosłość jego polega nietylko na tem, że w zwięzłej, treściwej, a dobitnej formie określa trafnie znaczenie ustawy i jej szkodliwość wykazuje, lecz na tem głównie, że wychodzi z pod pióra autora, który stanowiskiem i urodzeniem do klasy panującej się zalicza. — Baron v. Wolzogen jest arystokratą i to arystokratą nietylko z krwi i pochodzenia swego, lecz i z przekonań. Wierzy w wyższość przez wiekową cywilizacyę uszlachetnionej rasy, wierzy, że jej przeznaczeniem jest przodowanie narodowi. Jestto jednak arystokrata nowego stylu, arystokrata w rodzaju takim, który niestety, zarówno w Niemczech jak i w innych krajach, bardzo mało ma przedstawicieli. Talentem, twórczością literacką zbliża się do inteligentnej, myślącej klasy narodu i dzięki temu wznosi się ponad panujące w swej sferze przesądy i uprzedzenia. Zdolny autor cenionych zgólnie dramatów i powieści bierze żywy udział w ruchu umysłowym swego narodu, ocenia trafnie współczesne kierunki i prądy społeczne, stoi na wysokości cywilizacyjnego poziomu stulecia, i jasnem, trzeźwem okiem patrzy w przyszłość. I dla tego właśnie słowa jego na specyalną zasługują uwagę, że opierają się na dokładnej znajomości zarówno sfer, do których przemawia, jak i tych, czyich interesów broni. Oto, jak sam stanowisko swe określa:

„A teraz przemawiam przedewszystkiem jako arystokrata do ludzi z mej sfery. Mam do tego prawo, jak sądzę, gdyż szczycę się pochodzeniem ze starego rodu, a choć wśród swoich żadnego „Raubrittera“ nie liczę, wymienić mogę cały zastęp tych, którzy w obronie swych niepodległych przekonań walczyli lub męczeństwo ponieśli. Przodkowie moi jedni z najpierwszych wśród austryackiej magnateryi przyłączyli się do reformacyi, a woleli poświęcić swe bogate posiadłości i wysokie stanowiska, niż zaprzeć się prawdy, którą wyznawali.“

FRANCISZEK RAWITA.

WIDZENIE.

Fantazya historyczna na tle rzeczywistości.

—

Na zamku warszawskim od dłuższego czasu panował ruch niezwykły — pełen gorączki i posępnego smutku. Pakowano rzeczy Najjaśniejszego Pana Stanisława Augusta Poniatowskiego do podróży. Przed siedmiu laty mniej więcej działo się to samo. Król wybierał się wówczas do Kaniowa — teraz także wybierał się... ale dokąd? Wówczas w przygotowaniach było dużo ochoty, wesołości, ożywienia, a teraz odbywało się wszystko cicho, smutnie, jak gdyby chciano tajemnicę zachować — przed kim, po co? Nad zamkiem królewskim ciążyła jakaś posępna atmosfera moralna, która przygniatała wszystkich ciężarem swoim niewidzialnym. Służba szeptała sobie do ucha, że Król do Rzymu jedzie i tam na dewocyi osiądzie; inni wręcz przeczyli, a wszyscy byli pod wrażeniem jakiegoś smutnego zakończenia, które niewiadomością swoją cięższe było od nieubłaganej pewności.

Wesoły dotychczas dwór króla grał teraz komedyę wesołości — damy dworu, jenerałowie, szambelanowie prześcigali się w bawieniu Najjaśniejszego Pana, ale wnet, gdy tylko twarze ich odwracały się od oblicza króla, osiadało na nich zamyślenie, smutek, niepokój przed nierozwiązanem, pełnem trwogi pytaniem: co jutro będzie? Smutek ten spadł na wszystkich niespodziewanie, nagle, przepłynął po ich myślach i twarzach, jak powiew chłodnego wichru, jakgdyby przesunęła się koło nich gromada niewidzialnych duchów i chłodem śmierci wionęła.

Król był także bardzo zamyślony, zgnębiony, smutny. Jasnem, nieruchomem, bez wyrazu, jakgdyby szklanem okiem spoglądał przed siebie jak człowiek, który nic nie widzi. Pragnął się dostroić do tej wesołości, otaczającej go, uśmiechał się — ale to były uśmiechy bez myśli, wrażeń, uczucia — zdawało się, że mięśnie same, z przyzwyczajenia, z nałogu, ulegały skurczom radości. Na czole jego wisiało zamyślenie, którego nic pokryć i zamaskować nie zdołało, piętno swoje na całej kładąc twarzy. Dziwny ten moralny nastrój króla odbijał się na całej jego istocie — w jego słowach, ruchach, postaci. Ubrany wytwornie w aksamity i koronki, połyskujący od złocistych ozdobek, brylantów, barw różnych, wyglądał na szczęśliwego do niedawna człowieka, nad którym wisi nóż gilotyny — każdej chwili gotowy spaść na alabastrową szyję, w koronki ozdobne przystrojoną. Ruchy jego straciły dawną gracyą i elastyczność, cała postać wydawała się złamaną, pochyloną.

Najbliższe otoczenie króla, dostrzegłszy w nim zbyt widoczny rozstrój nerwowy i psychiczny, starało się o to, ażeby go ani na chwilę niepozostawić samotnym, a król tej samotności szukał, uciekał od ulubionego i miłego sobie towarzystwa i błąkał się po olbrzymich salonach zamku, cicho, niby duch jaki.

Miał powody do zmartwienia, powody — nielada.

Zmęczony władzą, której użyć nie umiał, znudzony życiem, które roztrwonił i zmarnował na lubieżne intrygi, pozyskał miłość pochlebców, nienawiść prawych, a zamiast mężem i obywatelem stał się pieskiem, który prowadzony na złotym łańcuchu, szedł za nogą największej rozpustnicy i najprzewrotniejszej kobiety.

Do tej kobiety pisał niedawno:

— „Losy Polski w twoich spoczywają rękach...“

Zdawało się, że zagadkę tych losów król zrozumiał — i to go bolało. A jednak, słaby, ulegał wpływowi cudzej woli i, zamiast we własne ręce te losy ująć — złożył je w ręce carowej Katarzyny. Zrobił tak, jak robi każda słaba dusza, niezdolna do oporu, przyjmująca złe dla tego tylko, ażeby z niem nie walczyć. On składał skarb najdroższy w ręce złodzieja, który rękę po ten skarb już wyciągnął i odda...

„Ponieważ i ze strony matki pochodzę ze starej francuzkiej rodziny hugenotów, którzy ze względu na swą wiarę, majątek i ojczyznę porzucić musieli — śmiało powiedzieć mogę, że skłonność do walki przeciw umysłowej stagnacyi we krwi dziedziczę. Wierzę w znaczenie krwi jako darwinista z przekonań; wierzę, że my szlachta stanowimy rasę odrębną, która — przynajmniej aż do najnowszych czasów — do panowania powołaną była. Jedynie swobodny rozwój może wydawać ludzi umysłowo i fizycznie dzielnych i silnych, a przez długie czasy jedynie szlachta tej swobody rozwoju używała."

„Co mnie właśnie jako arystokratę boli i oburza, pisze dalej, to fakt, że obecne panujące rody całkiem zapomniały, iż niegdyś właśnie ich przodkowie pierwszymi byli szermierzami idei nowych. Chrześciaństwo, odrodzenie, reformacya! Potężny duchowy prąd, który te trzy wyrazy określają, na kimże, jeśli nie na szlachcie i patrycyuszach się opierał? Dopiero w 18 wieku zaniechała szlachta swego właściwego zadania, zniżyła się do podłego, tchórzliwego dworactwa, upadła fizycznie i duchowo wskutek lekkomyślnego życia zmysłów i rozkoszy. Wtedy zagrzmiał nad nią straszny sąd wielkiej rewolucyi i od tej chwili w zgubnem zaślepieniu uznała jako swe powołanie wśród wszelkich okoliczności bronić starego porządku przed nowym. Z teroryzmu tłumów nie wyciągnęła jedynej prawdziwej dla siebie nauki, lecz między sobą a gminem wystawiła niebotyczny mur przesądów."

„Silne, światłe głowy powinny się przejąć nowemi ideami, czyste ręce muszą je rozpowszechniać w narodzie, jeśli one błogosławieństwo przynieść mają. Groza wielkiej rewolucyi powinna nas była nauczyć, że prawdziwy arystokrata powołanym jest na szermierza nowych idei, zkądkolwiek one pochodzą."

„Dziś stoimy znowu wobec wielkiej katastrofy: niesłychana większość pracującego ludu, działacze w każdej dziedzinie, ci co czuwają i ku przyszłości dążą, na siedmiomilowych butach wyprzedzili garstkę panujących. W starym ciężkim rynsztunku odwiecznych przesądów wloką się ci ostatni za narodem i zarzucają na niego z rozpaczliwym wysiłkiem arkany niedorzecznych ustaw w nadziei, że przynajmniej tym kilku, którzy głowami ponad tłum sterczą, gardła niemi spętają i zduszą, aby pozostałym strachu napędzić. Jednakże tym sposobem nie dokażą niczego, lecz tak rozgoryczą te masy, które obecnie z dobroduszną obojętnością mimo nich biegną, że zwrócą się przeciw nim, aby ich zmiażdżyć."

Autor stwierdza i obszernie charakteryzuje rozłam, jaki się między panującemi klasami, a inteligentnemi warstwami narodu wytworzył. Zarzuca sferom rządzącym absolutną nieświadomość umysłowego stanowiska narodowej inteligencyi.

„Sądzą oni — mówi, że ci pisarze i agitatorowie, którzy niekiedy przed ich sądami stają, to niebezpieczne dla ogółu wyjątki, przewrotne charaktery i niedowarzone głowy, wyglądające przeważnie na ludzi nie mających nic do stracenia — więc też gotowych z lekkiem sercem wyszydzać najświętsze dobra ludzkości."

„...Nie widzą, że ci mniemani przestępcy w surowej, jaskrawej i niesmacznej formie wypowiadają to tylko, co wykształcony ogół narodu myśli i co zgodnie ze swym umysłowym rozwojem uważa nawet jako naturalną i konieczną podstawę wszelkiego samodzielnego myślenia."

„Życie teraźniejsze uczy tego, który bystrem okiem śledzi jego objawy i choć trochę konsekwentnie myśleć jest zdolny, całkiem innych rzeczy niż gimnazya i żeńskie pensyonaty, a właśnie ci ludzie, których życie współczesne kształciło i wychowało, nadają charakter obecnej epoce. Ich właśnie konieczność zmusza wciąż dalej postępować, gdyż zastój jest dla nich zagładą: bieda dodaje im skrzydeł i umysł ich zapładnia."

Przeciwstawiając tym ludziom arystokracyą pisze o niej co niżej:

„Wytworzyło się u nas w Niemczech, zwłaszcza w ostatnich dwudziestu latach takie pojęcie dystynkcyi, które tejże dystynkcyi hołdujące towarzystwo na zagładę skazuje. Polega ono mianowicie na niedorzecznem pysznieniu się pewnym rodzajem umysłowej liberyi. Jeśli liberya ta krojem swym przypomina odległe i zamierzchłe czasy — tem lepiej! Kto do kasty wybranych należeć pragnie, nie powinien się za żadną cenę ani zewnętrznym pozorem, ani myślą lub uczuciem od swych współtowarzyszy kastowych wyróżniać. Odwaga posiadania własnych przekonań nie uchodzi za cnotę, lecz raczej bezczelnością i brakiem smaku się mieni, a otwarte głowy i wrażliwe dusze, które przypadkowo, dzięki urodzeniu swemu, wśród kasty wybranej się trafiają, muszą zawczasu ćwiczyć się w sztuce udawania, gdyż inaczej na pewno zostaną z grona swych bliskich wyszczute. Mogą dożyć do tego nawet, że członkowie najbliższej rodziny najgorliwszymi staną się uczestnikami przeciw nim urządzonej hecy. Możemy słowa powyższe poprzeć charakterystycznym przykładem:

„Dziesięć lat temu brałem udział w założeniu klubu towarzyskiego, mającego zgromadzać śmietankę towarzystwa. Prezydentem obraliśmy dymisonowanego generała. — Celem stowarzyszenia było uprawianie szlachetnej gry w szkata i organizowanie wieczorow tańcujących. Już pierwszego wieczora pewien hrabia, noszący nawet tytuł dostojnego, doniósł przewodniczącemu, iż między członkami znajduje się doktór, stały prenumerator „Vossische Zeitung" mocno o liberalne przekonania podejrzany. Przewodniczący wziął rzecz z poważnej strony. Zapytał doktora w cztery oczy czy istotnie „Voss. Zeitung" czytuje i jej tendencye podziela, gdy zaś obwiniony nie chciał i nie mógł się tego zaprzeć, zwołano natychmiast walne zebranie i zapytano, czy członkowie zdecydowani są cierpiec wśród swego grona człowieka, przyznającego się do liberalnych dążeń. Pewien mówca ośmielił się twierdzić, że liberalne przekonania same przez się nie przeszkadzają nikomu być porządnym człowiekiem. Przewodniczący odpowiedział mu, że wszyscy jesteśmy tutaj albo oficerami, albo byłymi oficerami, że zaś oficer liberalnych przekonań jest absolutnie niemożliwym. Przy głosowaniu większość przyłączyła się do opinii przewodniczącego. Doktór sztabowy został wykluczonym, a kilku panów, którzy mimo uchwały większości nie mogli przestać go uważać za porządnego człowieka, dobrowolnie wystąpili z klubu. Byłem naturalnie między nimi.

Nazajutrz na ulicy spotkał mnie Jego Ekscelencya, zatrzymał i mówi: „Posłuchaj, baronie, nie pojmuję, jak możesz się z tym doktorem solidaryzować?

„Czyż Ekselencya utrzymuje, mówię, że człowiek, który był niegdyś oficerem, nie powinien nigdy mieć własnych przekonań?"

„Powinien mieć przekonania swego rządu; wszak to proste? Niech jutro rząd stanie się socyalno-demokratycznym, to i ja socyalnym demokratą zostanę i basta!"

„Powiecie może, że mowa tu o niezwykle niemądrej Ekscelencyi. I to możliwe: jednakże obawiam się, że niezwykłość polegała tu raczej na nierozwadze, z jaką ten pan poglądy swoje wypowiedział, niż na tych poglądach samych. Co zaś z przykładu tego z taką smutną oczywistością wynika, to fakt, że w pewnej części naszego do przodowania powołanego towarzystwa, duchowa nicość właśnie do godności zasady podniesioną została."

Wolzogen uważa za rzecz słuszną i naturalną, że oficerom wzbronionem zostało branie udziału w politycznych walkach stronnictw, gdyż póki służą, reprezentują oni powagę rządu wobec poddanych i są jego władzy narzędziami. Sądzi, iż kto dobrowolnie do służby wstępuje, uznaje tem samem zasady, któremi kieruje się rząd, jeśli zaś te zasady przestają jego zapatrywaniom odpowiadać, powinien się od służby uwolnić. Nie

---

go za obietnicę przechowania w całości, uczynioną z całą skwapliwością przewrotną.

Dziś właśnie nadeszła odpowiedź z Petersburga.

— Niebezpieczeństwo, na jakie się narażasz — pisała carowa — w pośród rozpasanego ludu warszawskiego, zniewalają mię doradzić ci, Najjaśniejszy Panie, byś z tego obciążonego występkami miasta przeniósł się jak można najprędzej do Grodna.

Tak, nie do Rzymu — do Grodna. Przyjął tę wiadomość z rezygnacyą człowieka, w którego duszy, wszystkie szlachetne promienia wygasły, spopielały resztki dumy, wola stała się bezwładną jak sprężyna złamana, pozostały tylko życzenia, zmęczonego długim i bezowocnem pełzaniem, robaka — bezpiecznego spokoju. Przyszłość taką wskazywała mu carowa w Grodnie. Godził się z tą myślą — ale jak błyskawica na zachmurzonem niebie przelatywała w jego znurzonym umyśle inna myśl:

— Przyszłość kraju... tego kraju, który z zaufaniem i nadzieją wkładał na jego głowę koronę Bolesławów, Łokietków, Zygmuntów, Batorych niedomyślając się czyje ręce koronę tę wywalczyły dla niego.

— Przyszłość kraju...

Miał jej przeczucia niejasne.

Prawda, że magnaci za pieniądze moskiewskie bawili się wesoło, że dokoła jego, króla jednego z największych państw Europy, uśmiechały się roje wesołych panów i pań, ale dwie wojny — jedna po drugiej — powstrzymały prace rolne, dobytek z pod pługa zabrano pod armaty, zboże i wsie popalono, a ludność uciekać poczęła z własnej ojczyzny. Nic dziwnego przeto, że z ust jego wyrywały się smutne proroctwa:

— Polska stanie się stepem bezludnym — myślał ostatni król Polski, a miało stać się jeszcze gorzej.

Z myślą tą uciekał Stanisław August od towarzystwa i błąkał się po zamku, jakby pragnął wszystkie kąty jego, świadków wielkości i sławy pożegnać osobiście.

Zmierzch tylko co zapadać poczynał, ale jeszcze na salach i pokojach panowała jasność pogodnego zimowego dnia, w którym promienie niewidzialnego słońca zwiększają siłę swoją białością śniegu. Śród tego cichego półmierzchu, który spływał zewsząd i ogarniał nieruchwytnemi ramionami swemi wnętrze królewskiej siedziby, skrzypnęły drzwi jednej z sali narożnych. Echo powtórzyło szelest, porwało na skrzydła swoje, niby tajemnicę jaką, uderzyło o kąty salonu szmerem, zadrżało jękiem o szyby szklane i rozpłynęło się w ciszy.

Na progu ukazała się postać króla. Zatrzymał się chwilkę, jakby sam sobie postawił pytanie: po co tutaj przyszedłem? Utkwił spojrzenie w głąb sali i ku oknom narożnym poszedł — machinalnym ruchem popchnięty. Tak samo nie wiedział po co w tę stronę idzie jak nie wiedział, po co do tej sali przyszedł. Szedł zamyślony powolnym krokiem, z postawą pełną wdzięku i ujmującej kokieteryi, szedł ku oknom, drżącym jeszcze od echa, wyświeżony, gładki, upudrowany i ufryzowany jak markiz francuzki, migający blaskami brylantów i świecidełek kosztownych.

Przy jednem z okien zatrzymał się, o ramy się oparł i na plac Zygmunta patrzył.

Nic tam godnego uwagi nie było widać. Śnieg białym jednostajnym, o matowym blasku calunem pokrywał calą płaszczyznę, po której przesuwały się w różnych kierunkach sanki lub karety i widać było czarne poruszające się punkty — ludzi, dążących na krakowskie, na Senatorską lub na Stare-miasto. Bo nad dachami kamienic, migającym śniegiem pokrytych, unosiły się kłęby siwego dymu, które wiatr wieczorny targał, strzępił, w górę unosił i rozszarpywał na niewidzialne obłoczki. Na tle tego obrazu strzelała w górę jak raca smukła, wysoka kolumna Zygmunta, groźnie trzymającego miecz podniesiony ku północy wschodowi.

Na tej postaci zatrzymywały się mimowolnie spojrzenia króla i kilka myśli nasunęło się bezwiednie. W ciszy bezbrzeżnej, jaka go otaczała, z niemych warg spadł mu szeptem wyraz —

— Fatum... — spadł tak cicho, że go na-

można jednak wymagać od oficerów, aby zupełnie się własnych przekonań wyrzekli, inaczej należałoby samych głupców oficerami mianować. Jeżeli zaś dla wojskowych czynnych staje się złem koniecznem pewne ograniczenie indywidualnej swobody wyrażania politycznych opinii, to zupełnie niesłusznie narzuca się te ograniczenia innym poddanym państwa i tych tylko prawymi synami ojczyzny mianuje, którzy się dobrowolnie swej swobody w tym kierunku zrzekają. „Sztucznie hodujemy obłudę, mówi Wolzogen, i wyznaczamy nagrody za bezmyślność.“

Klasy, panujące dla przykładu i podtrzymania swej powagi udają i mocno akcentują wiarę w tysiące prawd przestarzałych, chcąc tym sposobem lud za sobą pociągnąć i powagą swego stanowiska podpierać zbutwiałe poglądy. Na tę sztuczkę jednak dadzą się brać tylko zupełnie ciemni chłopi z zapadłych kątów prowincyi. Rozumni ludzie wszystkich stanów czy otrzymali szkolne wykształcenie, czy też nie, mówią raczej w duszy patrząc na nich: „Boże miłosierny, jakże ci dostojni panowi głupi być muszą, jeśli w to wszystko wierzą istotnie, a jacy przewrotni i obłudni, jeśli wiarę tę tylko udają.“ „Komedya, którą gracie w dobrej wierze ku zbudowaniu ludzi, tylko młodszych drażni i roznamiętnia, a czyni was przedmiotem szyderstwa ludzi dojrzałych“, mówi autor.

Pod sztandary reakcyi, zdaniem jego, zaciągają się w dobrej wierze jedynie ciasne głowy, a ze względu na ich szczerość nie można im nawet pewnego szacunku odmówić. „Dla tych poczciwych, małych umysłów, pisze on, świętem jest to, co do historyi przeszło i to aż do dostępnej dla nich granicy — tej granicy, którą im szkoła wykreśliła. Co po za nią wybiega, jest dla nich przewrotem. Nie można wymagać od nikogo, aby rozumem swoim nauczyciela swego przewyższył, jakkolwiek jest to naturalnym celem wszystkich umysłowych dążeń i warunkiem wszelkiego postępu.

„Co jednak oburzać musi każdego uczciwego człowieka, w którego żyłach nie płynie woda z cukrem, to fakt, że ciasne poglądy stały się obowiązującemi dla członków panującej kasty. Czyż nie nauczyła was historya, że zawsze po wszystkie czasy duchy wielkie nad małemi zwycięztwo odnosiły, mimo wielkiej przewagi liczebnej tych ostatnich, mimo długiego ucisku i prześladowań? Czyż i dziś jeszcze nie widzicie, że w końcu zawsze młodzi starych zwyciężyć muszą? Niegdyś dużo czasu upływało, zanim myśl nowa utorowała sobie drogę i konserwatywny filister zdążył nakłonić się do zmiany przekonań. Lecz dziś niesłychanie szybko rozpowszechniają się idee, w mgnieniu błyskawicy przenikają do najciemniejszych zakątkow, a wy wysyłacie za niemi konnych żandarmów, aby je gonili, wołając: „Stój, bo strzelę!“

Wolzogen swym braciom z arystokracyi daje za przykład żydów, dowodząc, że ich potęga w tem głównie polega, iż skwapliwie przyswajali sobie zdobycze postępu i cywilizacyi na każdem polu i dziś też we wszystkich kierunkach umysłowej działalności narodu rej wodzą. Zrozumieli oni to, czego rodowa arystokracya zrozumieć się wzbrania, że chcąc drugim przewodniczyć i nimi kierować, trzeba ich przedewszystkiem umysłowo przewyższać i na drodze postępu wyprzedzać. Dzięki temu trafnemu zrozumieniu własnego interesu, wytwarza się powoli arystokracya semicka, która starogermańską na drugi plan usuwa. — Chcąc zwalczyć niedorzeczny wstręt do rzeczy nowych i nieuzasadnioną przed niemi obawę, mówi:

„Pomyślmy przecież, że wszystko to, czego dziś jako uświęconego wiekiem dobra bronimy, też niegdyś nowem było i z trudem wbrew oporowi starych żywiołów wywalczonem zostało. Obecne formy państwowe, dynastye panujące, religie i wyznania, prawdy naukowe, pojęcia estetyczne w sztuce, zwyczaje towarzyskie i zasady moralne — wszystko to przecież nie są ani odwieczne, ani wiekuiste urządzenia. W świecie myśli panują równie konsekwentne prawa rozwoju, jak w przyrodzie. Możnaby myśleć, że prawda to oklepana nawet dla dziecinnych umysłów, jednakże nasze panujące klasy wciąż tak postępują, jak gdyby ona do ich głów jeszcze nie przeniknęła. Obawiacie się utracić to, co wam pozostało — ależ nie jesteście chyba ślepi, widzicie przecież, na czem istotne posiadanie i istotna polega potęga, potęga idei, przeciw której, jak wiadomo, bagnetami i armatami walczyć nie można. Wasza zaciekła walka przeciw ideom nowoczesnym świadczy sama przez się, że ich potęgę uznajecie i obawiacie się jej. Dla czegoż więc nie pochwycić jej w swoje ręce? Dla czegoż nie przywłaszczacie sobie nowoczesnych skarbów? Idei nie mogą zamknąć w warownych kasach chciwi złota kapitaliści. Jak ptak wolne krążą one po nad wami.“

„Sądzicie, pisze dalej, że nie wolno wam mieć własnej woli, lecz wolę monarchy waszego pełnić należy, gdyż jesteście naturalnymi obrońcami tronu. Nie — mylicie się, wy właśnie pomagacie tron obalić, wy jesteście istotnem stronnictwem przewrotu. Stajecie bowiem jako żywy mur między tronem a narodem i dzięki wam, monarcha mimo najlepszych chęci ani materyalnego, ani umysłowego życia swego narodu poznać nie może.“

„Jeśli panujący nie zechce się zabawić w Harun al Raszyda — nie ma najmniejszej w życiu sposobności wysłuchania bezwzględnej, niefałszowanej prawdy.“

Przechodzi dalej w krótkich słowach panowanie Wilhelma II-go, jego świetne obiecujące początki od kongresu robotniczego i oddalenia Bismarka, aż do obecnego wielkiego rozczarowania: projektu antiprzewrotowej ustawy. „Jest ona istotnie przewrotem, zniweczeniem radosnych nadziei, wywołała opór i niezadowolnienie wszystkich bez wyjątku klas społeczeństwa.“

„Prawdziwymi działaczami przewrotu są ci właśnie, którzy się sprzysięgli, by walczyć z inteligencyą i wyczerpnąć jej cierpliwość do ostatecznych granic. Nikt nie wierzy w ich obłudne twierdzenie, że bronią najświętszych skarbów narodu. Dla narodu skarbem najświętszym **jest swobodny rozwój jednostki dla dobra ogółu** — a po za wiecznie nadużywanem hasłem obrony tronu i ołtarza ukrywa się tylko obawa utraty uprzywilejowanego miejsca w narodzie.“

Ze stanowiska, jakie panujące klasy wobec postępowego ruchu umysłów zajęły, wynika istotnie, że inteligencya ich naturalnym wrogiem się stała.

„Na twórczość poetycką nakładacie kary, twierdzi Wolzogen.“ „Każdy wielki poeta jest rewolucyonistą. Gdyby nie widział, że są rzeczy, które obalić należy — nie pomyślałby nawet o tworzeniu.“

Pracę swą kończy autor taką gorącą odezwą: „Jeśli wogóle nie wierzycie moim słowom, to uwierzcie przynajmniej temu, że jako szlachcic i arystokrata, głęboką odczuwam hańbę, widząc moich równych przedstawicielami najniedorzeczniejszej reakcyi, wyśmianymi i wzgardzonymi obrońcami dawno straconej sprawy. Uszanujcie choć wstyd, ktory z waszej przyczyny lica moje pali; odczytajcie uważnie słowa, które zmuszony byłem wam wypowiedzieć. Pisałem jako wasz przyjaciel — usłuchajcież głosu przyjaciela! O jednem tylko bądźcie przekonani: jeśli z waszą pomocą przejdzie ta antiprzewrotowa ustawa, głos ludu wyda na was wyrok śmierci, jako na ludzi, którzy zburzenie królestwa myśli głosili, Czyż nie mówili wam kapłani wasi, dla jakiego grzechu nie ma przebaczenia? *Dla grzechu przeciwko Duchowi św.* *I. M.*

Dokąd idziemy?

II.

Był czas, kiedyśmy po krwawych naukach doszli do przeświadczenia, że siłą brutalną przeciw przemocy orężnej nie zdziałamy nic, że trzeba iść powolną i uciążliwą drogą pracy organicznej i przyswajać sobie nowe idee i hasła

---

wet nie słyszało echo i pustym ścianom salom nie powtórzyło.

— Mógł opanować północ, wschód, południe — nie chciał... Mógł Polskę o dwa morza oprzeć i o góry Uralu — i nie chciał... Wolał brewiarz niż miecz — niechże za karę słabej woli i miękkiej duszy trzyma przez długie wieki ten miecz — na świadectwo, że państwa budują się mieczem, a utrzymuje się — pokojem i miłością.

Kiedy tę myśl sam przed sobą wypowiadał, zdało mu się, że w ciszy, otaczającej go, złośliwy szept przepłynął?

— A ty?...

Uczuł w tej chwili, że go dreszcz przez całe ciało przebiegł — zkąd? Cóż to za dziwne uczucie łączy się z tym dreszczem — i ból, i smutek, i żal za czemś, co bezpowrotnie minęło. Wspomnienie jego błądziło w przeszłości i przesuwało w pamięci własne jego marzenia o poświęceniu, sławie, potędze Polski. Ta, lub owa postać wojownika lub króla stawała przed nim tak wyraźnie, tak jasno, jakby powstawszy z grobowców swoich w katedrze warszawskiej lub na Wawelu, przyszła dręczyć myśl jego, niepokoić ducha... Te nieme, milczące twarze spokojem i powagą przemawiały do niego — nie słowami, lecz czynami. Żadne słowo z ust ich nie wychodziło, ale samo milczenie bolało go, bo doświadczał takiego uczucia, jakby czyjaś ręka serce jego ściskała powoli.....

Uśmiechnął się wreszcie... Uśmiech prześliznął się po bladej twarzy króla i ożywił ją lekko — i zastygł, a usta wyszeptały czarujący wyraz:

— Szczęście...

Gorzkie, bolesne uczucia zatarły się na chwilę pod wpływem wspomnień i marzeń osobistych.

— Byłem stworzony do szczęścia... — myślał. Krążyło ono koło mnie przez całe życie — i uciekało błysnąwszy zaledwie... Kilka promyków jego wpadło tylko do mojej duszy....

Nagle odchylił ramię od ramy okiennej i przeszedł do innego okna. Zatrzymał się przy niem, wyjął białą batystową chusteczkę, koronkowem dzierzganiem ozdobioną, i kwiaty mrozu na szklannej szybie kwitnące, wycierać począł gorączkowym, nerwowym ruchem. Na gładkiej powierzchni szkła był napis brylantem zrobiony: Elżusia...

Napis ten wiązał się z dawnem, dawnem wspomniem... To jego ręka ten napis położyła jego... imię kochanej kobiety...

Wspomnienie to rozrzewniło go, przeniosło w dawne czasy, kiedy promyczek szczęścia duszę jego oświecał — odtąd ileż dni przeszło smutnych i ciężkich! Stanisław August rad był, że wspomnienie to weszło do jego duszy, ożywiło ją i zatarło ciężkie myśli.

Imię Elżusi, związane odtąd z jego imieniem przez długie lata, w myśli jego unosiło się na tych promyczkach, które on szczęściem nazywał. Uczuł, że jakiś duch buntowniczy chwilkę ukojenia mu mąci i szepce z akcentem szydertwa:

— Szczęście? Co? Bawisz się pięknemi wyrazami i dźwiękiem ich oszukujesz sam siebie...

W myśli tej zastanowił go wyraz „sam“, szarpnął słuch jego jak akord fałszywy, jak dyssonans, który zgrzytnął w najpiękniejszym ustępię.

— Sam — powtórzył. — Prawda... sam jestem... Szczęście tylko z innymi.

Obraz pięknej Elżusi i tego upojenia, jakie mu dała, stał przed myślą i wyobraźnią zamyślonego króla. Powolnym ruchem odwrócił głowę od okna, w dół schylił i tak ze schyloną głową stał długą chwilę, jakby wsłuchiwał się w ciszę otaczającą go.

— Tam... — szepnął.

Znowu usta złożyły mu się do uśmiechu, w którym nie było ani radości, ani szczęścia. Cichym, elastycznym krokiem przeszedł w zamyśleniu przez salon — i znikł za drzwiami. Pozostał tylko po nim szmer powietrza, drżącego niewyraźnem echem i wonna smuga perfum...

Stanisław August korytarzem wewnętrznym przeszedł do drugiej części zamku — od Wisły. Minął salę melinową, cisową, nie rzuciwszy nawet spojrzenia na marmury i alabastry,

otaczającego nas świata, — by nie stać się kamieniem przydrożnym wśród ogólnego pochodu naprzód. Mieliśmy swoje drogoskazy przyszłości — Marcinkowskich, Libeltów, Warnków — mieliśmy jakiś ruch naukowy, kładliśmy swoją cegiełkę do ogólnego gmachu wiedzy — wolno było być człowiekiem wolnomyślnym i otwarcie przyznawać się do tego — i nie stawać się pośmiewiskiem ogółu. Jakie to dawne czasy! Imię „Marcinkowskich“ żyje jeszcze „pustym dzwiękiem“ wśród społeczeństwa, dzieła jego spadają dotąd nieprzerwanem pasmem dobrodziejstw na nasze głowy, — a jednak owo tchnienie liberalne, wiejące z tej postaci, co podziałało na nasze stosunki, jak prąd świeżego powietrza w zatęchłej piwnicy, utonęło w piasku zapomnienia. Słowo „liberalny“ służy dzisiaj „Kuryerowi Poznańskiemu“ za wyzwisko — i nikt nie przeczy, — a jeżeli jakiś duch gorętszy zawoła: „kłamstwo!“, Kuryer odpowiada „anarchista“ — i znowu nikt nie przeczy.

Czyżby ta fala światła, co z tych ludzi na nasze ostatnie dzieje spłynęła, zagasła bezpowrotnie? — Ale płomienie ducha mają dziwną władzę. Zapalają nowe iskry jeszcze w dalekich pokoleniach; — są jakoby głębokim nurtem ognistym, w którym człowiek pojedyńczy przedstawia tylko jednę falę świetlaną, dającą początek nowym. — A u nas ciemności dokoła. Społeczeństwo sprzecznemi dążnościami miotane nie posuwa się, ale stoi w miejscu. — Nie ma nowych idei, nie ma gwiazd przewodnich!

Więc te światła, które przeszłym pokoleniom świeciły, byłyżby tylko błędnemi ogniami, które zeszły na to nad nasz pogrobowy firmament społeczny, aby dzisiejsze przerażające mroki tem beznadziejniej się odbijały?

Ależ w takim razie wydrzyjmy z serc naszych resztki pragnień, co nas nad padoły unoszą, połammy skrzydła ducha, zatknijmy uszy na głos tych, którzy nam prawią, że jest coś więcej nad syty i spokojny sen, i słuchajmy, co mówi Kuryer Poznański!

Mówi zaś Kuryer Poznański:

Co mi prawicie o narodzie i narodowości? — przedewszystkiem zbawienie. Co jest naród? Najpotężniejsze sidła tego świata — czyż nie mówiłem wam, że świat grzeszny jest? Powiadacie: „czcijmy bohatera Racławic — on walczył za niepodległość“. — Dla czego taki zgiełk czynicie? — ten człowiek krew przelewał i nielojalnym był! Mówicie: „gniotą nas, wolnego powietrza nam brak“. Niechaj mi nikt słowa: „wolność“ nie wymawia — czyż nie wiecie, głupcy, że władza od Boga jest. Pamiętajcie o powołaniu monarszem, „bramy piekielne nie przemogą go!“ Starajcie się o syty i spokojny sen dobra tusza jest oznaką czystego sumienia. Pamiętajcie o duszy! — Wszystko inne przydane wam będzie przez rząd pruski.

Mówiąc to, mruga Kuryer Poznański tak, jak mrugał ostatni człowiek w Nietzschego: „Also sprach Zarathustra“, i wznosi pobożne oczy do góry. A chociaż nie mówi już nic, widać jeszcze, co myśli: Na tym grzesznym padole płaczu nie ma doskonałości, — a jednak patrzcie no mnie.

Czasami, kiedy ta przedwieczorna atmosfera swą siłą przygnębiającą dotkliwiej podziała na mnie, wyobrażam sobie społeczeństwo nasze, uginające się pod ciężarem owych wyżej wspomnianych ideałów — i jakiś dreszcz bolesny mię przechodzi. A jednak tak źle nie jest! Tylko różnica między wczoraj a dziś polega na tem, że dawniej wolne duchy społeczeństwa przodowały mu w drodze rozwojowej, a dziś, w chwili przełomu wyobrażeń, społeczeństwo stanęło naprzeciw nim. I patrzą na siebie jak dwa wrogie obozy, jak bezwładne masy ciężkiej materyi i tajemnicze siły, zdolne z chaosu wyprowadzić lub w chaosie pogrążyć słońca. I jak niegdyś Bismark wołał na tych, co stanęli na jego drodze: „nieprzyjaciele państwa!“, choć nie byli wrogami państwa tylko jego polityki, tak nasi kierownicy wołają na tych, którzy nie łączą swych głosów w zgodny, pochwalny okrzyk tłumu, bo chcą pomimo jego woli popchnąć go ku jaśniejszym horyzontom przyszłości: „nieprzyjaciele społeczeństwa!“ Za długo już rozbrzmiewa ten okrzyk pomiędzy nami, głusząc w zarodku każde zdanie szerszym duchem owianej opozycyi, tłumiąc ruch i swobodę umysłów, nie dających się ściągnąć do poziomu panujących wyobrażeń i wyjaławiając społeczeństwo z jego najlepszych sił. — Więc jedni otrząsają proch z nóg swoich i idą szukać w innych stronach szczęścia wśród społeczeństw o nowożytniejszych pojęciach, że wymienię tylko Jana Kasprowicza, najjaśniejszy talent poetycki, jaki do dziś wydała Wielkopolska, (o którym u nas wiedzą tylko tyle, że jest człowiekiem w wysokim stopniu niebezpiecznym); inni, skończywszy nauki za granicą, nie wracają w ogóle do kraju (Stanisław Przybyszewski, piszący w języku niemieckim), wiedząc, że społeczeństwo poznańskie, nie toleruje pojęć, które dla ich umysłu już strawą codzienną się stały, — najwaleczniejsi zostają i dostarczają Kuryerowi materyału na — anarchistów! To nie są żarty. Niejednemu z czytelników utkwiły zapewne w pamięci słowa, jakiemi echo Kuryera w „Czasie“ krakowskim witało pierwszą myśl założenia pisma naszego, jedynego organu postępowego na zabór pruski. Jakież one były nizkie, płytkie i nienawiści pełne.

Dzisiaj znalazły wszelkie hasła postępowe przytułek u tych, których społeczeństwo do swoich „nieprzyjaciół“ zalicza, — reszta społeczeństwa obywa się echem idei, które dawno przebrzmiały i żywotność straciły. A ponieważ owa mniejszość nie zachowuje swych haseł dla siebie, ale dąży niedwuznacznie do wpojenia ich w społeczeństwo, — wyradza się walka. Pod takim znakiem żyjemy. — Na wielkiej arenie cywilizacyjnej odbywa się powoli przełom w dziedzinie ducha, który zaznaczy swe ślady i w politycznem życiu i urządzeniach społecznych narodów. A chociaż my stoimy dalej od głównego ruchu, — usunąć się zupełnie od niego nie ma sposobu, nie ma też i powodów. Okruchami przechowanemi z przeszłości żadne społeczeństwo trwale żyć nie może. Między tymi, co naszym stronnictwom „ładu i porzadku“ przewodzą, jest, zdaje się, głuche poczucie rzeczywistego stanu rzeczy i, co za tem idzie, przekonanie, na jak kruchych nogach ich własna sprawa stoi. Ztąd owa zaciekłość na każdą, nie z ich łona wychodzącą postępową myśl, niespodziewana u ludzi, którzy nawet prawdziwe klęski narodowe umieją znosić z wielkim spokojem. — I w tem dziwnem wahaniu się, nie zdolni postąpić kroku naprzód, będziemy trwać tak długo, póki nowe idee i nowe zadania, będące dzisiaj udziałem znikającej części społeczeństwa, nie ogarną większości i nie rzucą nas w wir ogólnego ruchu, który świat ku nowym torom poprowadzi.

St.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„*Gazeta Toruńska*“ donosi w nr. 63:

„Z pewnej strony proponują zamianowanie księcia Bismarka honorowym obywatelem miasta Torunia. Sądzimy, że wyrazimy myśl wszystkich katolików bez względu na narodowość, jeżeli zaprotestujemy przeciw podobnym pomysłom. Niech wielbiciele uczczą księcia Bismarka choćby jak najuroczyściej i w sposób, który uznają za właściwy, ale zamianowanie obywatelem honorowym miasta Torunia męża, który tyle ukuł ustaw na szkodę katolików wogóle a Polaków w szczególności, byłoby wyraźną prowakacyą i obrazą dla znacznej części spokojnych i zgodnych obywateli naszego grodu.“

—

Z powiatu świeckiego piszą do „*Gazety Gdańskiej*“ (nr. 32):

„W powiecie świeckim, znanym z oziębłości i ospałości, leży wioska Gruczno. Wioskę tę Niemcy wybrali sobie jako ziemię obiecaną. Nuże osiedlać się w niej, nuże wykupywać gospodarstwa — tak, że teraz wioska ta, przed kilkunastu laty czysto polska, nosi charakter po większej części niemiecki. Tylko ludek i kilku obywateli są Polakami.

Dnia 3 lutego br. uczuła nasza wiara, orzeźwiona

---

zdobiące je, na malowidła ukochanego Bacciaralego, na zwierciadła, które w dalekiej perspektywie odbijały postać jego, i zatrzymał się na progu malutkiego bocznego saloniku, tworzącego niejako zakończenie cisowej sali. Kanapka i dwa foteliki były prawie jedyną ozdobą tego kąta... Ściany lustrowe odbijały widok na Pragę, na Wisłę i nieskończoną, zda się perspektywę salonów.

W pokojach zmierzch już panował, a na dworze było jemu jasno, jasnością śniegu. Król podniósł spojrzenie i zatrzymał je na widoku, jaki miał przed sobą. Wielki, daleki, posępny był to widok. Tuż, u nóg prawie terasy zamkowej, ciągnie się szeroka płaszczyzna zamarzniętej Wisły, niby wstęga jasno-popielata rzucona na białe tło zimy, która w szerokich skrętach wiła się, zlewając się w dali z jasnością śniegu i czarnością zmroku. Tuż za nią, ku niej pochylone, tuliły się ubogie domy Pragi, w których gdzieniegdzie światełko przebłyskiwało, a nad dachami unosiły się słupy dymu. Dalej, na horyzoncie, czerniały lasy, ciągnęły się w głąb niby chmury dalekie i z ciemną linią nieba łączyły się w uścisku. Smutny to był, martwy, senny widok...

Król oderwal od niego oczy i rzucił spojrzenie na kanapkę. W milczeniu zbliżył się ku niej, zatrzymał się chwilkę, ominął i na fotelu usiadł. Czuł się zgnębionym, zmęczonym. Nie miał siły zapanować nad myślą swoją, nad nerwami, Dawne wspomnienia, uczucia przeżyte, przebolałe, wstrząsały nim i pochylały jak lada powiew wiatru liście drzew porusza i smutną harmonią ciszę mąci. Taki był nastrój jego duszy.

Siedział samotny, wpatrzony w szklaną szybę zwierciadła — nic nie widział przed sobą, tylko migały przed jego oczyma blaski ostatnich świateł dnia, odbite od gładkiej powierzchni szkła. Zmęczony doznanemi wrażeniami, uczuł, że mu jakaś cisza błoga do duszy wchodzi, że mu z tą ciszą tak dobrze, spokojnie. Mimowolnym ruchem wsunął się w głąb fotelu, na którym siedział, oparł się o miękkie poduszki i czuł się uszczęśliwionym tem, że nic nie myśli, nic nie czuje, nic nie pragnie — ma chwilkę spokoju i tę chwilkę za szczęście uznaje. Senność go ogarnęła coraz większa. Powieki zamykały mu wzrok — odchylały się znowu i znowu spadały... Zmęczenie przemogło. Zasunęły się powieki i wpółśnie, wpółjawie ostatni król polski leżał bezwładny, dręczony tylko wyrzutami sumienia, które zasnąć nie mogło. Ręce oparł o dwa oparcia fotelu, pochylił głowę, twarz w dłoniach ukrył i tak siedział z zamkniętemi oczyma nieruchomy zupełnie, zasłuchany w ciszę, która mu w uszach jednostajnym, łagodnym szumem grała.

Nagle postać króla poruszyła się lekko — nie powstał jednak, nie podniósł rąk od oczu.

— Nie chcę... nie mogę... nie mogę... — wyszeptał ledwie dosłyszanym głosem.

Chwilkę trwało milczenie. Zdawało się, że wśród ciszy słychać jeszcze wyrazy pełne bolu: nie mogę... nie mogę...

Po sali poszedł poszmer głuchy, niby tchnienie wiatru.

— Chodź...

— Dokąd? Nie mogę... ja pragnę ciszy, spokoju, zmęczony jestem...

— Pokażę ci drogi, któremi pójdzie pokora twoja i owoce jej.

Król westchnął.

— Ty?... znowu przychodzisz do mnie... Zostaw mnie... odejdź...

Zdało mu się, że widzi tuż przy sobie stojącą białą postać niewieścią o twarzy łagodnej, dobrej, smutnej. Białą płachtą była nakryta — tak, jak się nakrywają włościanki, dłuższą może nieco od innych, a na głowie biały czepiec wdowieństwa.

— Cóż to mi pokazujesz? Znam to, zdaje się...

— Znasz... To Wola...

— Poznaję... tak...

Nagle głosem przestrachu odezwał się:

— Cóż to jest? Wojsko... nasze... działa...

— Bitwa... — głos jakiś szepnął mu do ucha.

Z głębi piersi króla wyleciał z westchnieniem razem wyraz:

na duchu przedstawieniem amatorskiem, wykonanem 20 stycznia, potrzebę założenia towarzystwa. I założono towarzystwo ludowe, Lecz ks. proboszcz miejscowy Sch.. urodzony w Pelplinie, wystąpił przeciw towarzystwu i przeciw przedstawieniu amatorskiemu, na którem jeden okoliczny ksiądz proboszcz był obecnym, a drugi nie mogąc przybyć, przesłał ładny datek na pokrycie kosztów. Według zdania kapłana gruczeńskiego lepiej dla ludu w domu siedzieć niż po teatrach i towarzystwach chodzić! Nie chcę owych krasomówczych słów użyć, któremi ks. Sch ludzi chciał odstraszyć od przystępowania do towarzystwa, gdyżby to niejedno serce polskie jeszcze bardziej zakrwawiło, a smutku i boleści już dosyć! I owoce przyniosło wystąpienie księdza proboszcza z Gruczna! Odsunęło się kilku zależnych od księdza proboszcza ludzi i kilku niezależnych, a iluż odstąpiło od zamiaru przystąpienia do towarzystwa! A jaki cel ma to towarzystwo? Oto bronić lud od jadu socyałów, największych wrogów naszego Kościoła i bronić lud od zalewu germanizacyi. Smutny to szkic naszych stosunków gruczeńskich!!!“

Z powodu artykułów *„Przeglądu Pozn.“* pt. „Ważne wyznanie“ zamieszcza *„Orędownik“* w nr. 64 i 65 interesujące uwagi krytyczne, z których wyjmujemy następujące wyjątki:

„Czy inteligencyi postępowej i politycznej uzdolnionej, a nie za licznej u nas, która się skupiła około „Przeglądu Poznańskiego“, uda się na nowe tory popchnąć całą inteligencyą naszą, to czas pokaże. Interes społeczeństwa naszego bardzo tego potrzebuje.

Mylne są sądy, jakoby ruch ludowy unikał z zasady inteligencyi. Przeciwnie, ruch ludowy przygotowuje podstawę polityczną dla inteligencyi. Obecnie nie dało się nic zrobić, bo spółka z inteligencyą byłaby tylko zaprzepaściła ruch ludowy. Spółka taka to u nas jeszcze — muzyka przyszłości, a wszakże pominąwszy tę muzykę, stosunki tak się układają, że żądają innego udziału, aniżeli dotąd od naszej inteligencyi.“...

„Szlachta — mimo swych wielkich błędów politycznych — przy służbie narodowej stoi zawsze na posterunku; warstwy średnie i niższe w walce kulturnej wysunęły się czynnie naprzód w obronie Kościoła: teraz przez ruch ludowy dążą, by samodzielnie na własną odpowiedzialność stawać do służby narodowej. Tylko o inteligencyi nie można powiedzieć, gdzie jej stanowisko: przy szlachcie nic nie znaczy, przy ruchu ludowym nic nie znaczy, sama przez się też nic nie znaczy.

Inteligencya postępowa, grupująca się około „Przeglądu Pozn.“, wyraziła się w swej odezwie (? Przyp. Red.), że jej się z prawa należy kierownictwo nad ludem i że lud tylko czeka na to. Ta pretensya świadczyła tylko o braku potrzebnego doświadczenia w życiu politycznem. Inteligencya, równie jak szlachta, nie ma wyłącznego przywileju do kierowania sprawami publicznemi, a jeszcze mniej do kierowania ruchem ludowym. Kierownictwo to może sobie tylko wypracować, wyrobić pracą własną, przez postawienie się wśród szeregów ruchu ludowego. Co po za tem, to mrzonki i nic więcej.“

...„Solidarność narodowa została rozbitą. Niech się czasem nikt z inteligencyi nie łudzi, że co się rozpruło, to się samo naprawi. Ani myśleć o tem. Solidarność narodowa to nie objaw jednolitej konstrukcyi, to jest objaw natury składanej; stanowi o niej stosunek warstw i pojedyńczych interesów do siebie. Ten stosunek stanowi sam przez się o harmonii lub dysharmonii w społeczeństwie, a zrywanie solidarności, to tylko dorywcze zaznaczenie dysharmonii, i będzie się tak długo powtarzało, dopóki dysharmonię w społeczeństwie będzie podtrzymywała orkiestra polityki szlacheckiej. Inteligencya stojąca około „Przeglądu Poznańskiego“, może wiele zrobić dla naprawy tej dysharmonii. Praca byłaby nie trudna, bo osad ten krystalizuje się więcej w kształtach rogatych, dla tego wiele wrzawy próżnej wywołuje, ale w gruncie rzeczy tak złośliwy nie jest.“

„Katolik“ ogłasza w nr. 32 następujące szczegóły o pogrzebie sympatycznego poety górnośląskiego ks K. Damrotha, znanego pod pseudonimem Czesława Lubińskiego:

„Po niemieckiem kazaniu, pieśni i modlitwie powstała wielka cisza i oczekiwanie; to lud czekał na spełnienie ostatniej woli nieboższczyka, który życzył sobie polskiej modlitwy i polskiej pieśni przy grobie. Jeden z Braci Miłosiernych pochyla się ku Przew. ks. Olbrichowi, a potem tenże dosłownie po polsku w te odzywa się słowa: „Widzę też tu takich, co mówią po polsku. Dobrze, żeście tu przyszli, bo to był ksiądz bardzo nauczony. W tej myśli zmówmy za duszę jego Ojcze nasz..,“ Potem księża odeszli i pogrzeb skończony.

Wobec świeżego grobu wielkiego miłośnika Boga i ludzi, którego życie było ciągłym dowodem miłości bliźniego, nie użyjemy słów słusznego oburzenia, ale nie możemy nie wyrazić publicznie wielkiego żalu własnego i obecnych polskich wiernych, że się nie stało zadość życzeniu nieboższczyka. Żal ten odbije się głośnem echem na całym polskim Ślązku, bo jeżeli przy czyim grobie pieśń polska była na miejscu, to właśnie przy grobie tego, który był największym pieśniarzem polskim na Górnym Ślązku. Radzcom i dygnitarzom świeckim, tam obecnym, polska pieśń nie byłaby ucha obraziła, a choćby i tak było, to niechby poznali, że nie tylko królewskiego urzędnika chowaliśmy, ale księdza i polskiego poetę..

Wszystkim dziękowano za udział w pogrzebie od radzców zacząwszy aż do uczniów seminaryum. Lud polski nie usłyszał ani jednego słowa podziękowania Snać myślano, że temu ludowi własne jego serce powie: Bóg zapłać! Pociesz się ludu polski; choć przy pogrzebie byłeś ostatni — za życia byłeś przezacnemu księdzu po Bogu najbliżej serca; to serce, któreśmy z ciałem tam pogrzebali, gdy jeszcze biło, przedewszystkiem dla ciebie biło Kiedy kilka dni przed śmiercią proszono nieboższczyka o modlitwę przed tronem Najwyższego, podniósł ręce w górę, przycisnął je do serca i rzekł: „Będę się gorąco modlił za wszystkich Polaków“. Pociesz się, ludu polski, i otrzej łzy żalu, bo przed tronem Najwyższego, gdzie, jak w chrześcijańskiej nadziei tuszyć można sobie, dusza nieboższczyka przebywać będzie przez wszystkie wieki, masz jednego gorącego orędownika więcej.

W Gdańsku zaczął wychodzić *„Tygodnik Gdański“* dla ludu. Wydawcą jest znany patryota p. I. Czyżewski.

W lwowskiej korespondencyi *„Gońca Wielkopolskiego“* znajdujemy następujące uwagi o procesie ks. Stojałowskiego:

„Kto jest męczennikiem? Pytanie to nasunęło się nam nietyle z okazyi procesu tarnopolskiego, ile raczej procesu ks. Stojałowskiego i tow., który równocześnie z tamtym toczył się w Cieszynie. I doszliśmy do wniosku, że każdy, kto ponosi statecznie ofiary z osobistych korzyści i wygód dla jakiejś idei, a naraża się owszem świadomie na cierpienia, ten tem samem na miano męczennika zasługuje, choćby nawet idea, której służy, nie miała uznania i choćby środki działania nie zawsze były godziwe. Z tego zaś punktu widzenia musi się przyznać ks. Stojałowskiemu męczeństwo. Jest nim dla tego, ponieważ wskutek swojego działania politycznego po raz dwudziesty i trzeci stawał przed sądem, ponieważ przesiedział w rozmaitych czasach i za rozmaitymi wyrokami razem przeszło dwieście dni w więzieniu czy w areszcie (nie licząc aresztu śledczego, który zapewne więcej wynosi, niż rzeczywiste kondemnaty), ponieważ wskutek tego swojego działania naraził się na utratę korzystnego beneficyum i został dziadem, a w dodatku napłacił się różnych grzywien na kwotę 1500 złotych.

Opowiadając dzieje tych procesów, które są niejako tylko widomemi ogniwami w niewidomym łańcuchu zapasów tego szczupłego i chudego człowieczka w sutannie z „grubemi rybami“ galicyjskiemi, rozpłakał się ten twardy szermierz, jak małe dziecko..

Musiało się już chyba dużo nagromadzić goryczy w tem małem naczyniu, w którem bezpiecznie wielki duch mieszka, jeżeli się przelała właśnie w taką porę, w obliczu tak mało życzliwych mu ludzi.

Ani świetna obrona samego ks. Stojałowskiego i jego doradzcy prawnego. ani łzy podsądnego nic zdołały wyjednać dla niego uwolnienia, W prawdzie nie skazano go za zbrodnię obrazy majestatu, ale za to skazano go za obrazę Badeniego i jakiegoś p Oehlweina, administratora dóbr śp. arcyksięcia Albrechta na Ślązku na 4 miesiące aresztu.

Zapewne, że gdyby ks. Stojałowski był sobie obrał inną jaką ideę, jak pracę dla najuboższych, niekoniecznie musiałby tak wiele cierpieć A są jeczcze u nas ‚idee“ tłuste i — nieprzymierzając — jak dojne krowy intratne..“

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Il Pensiero Slavo“ krytykuje obecną polsko-niemiecką koalicyą w Austryi i pisze:

„Koalicya polsko-niemiecka stara się wszelkiemi sposobami, aby wycisnąć piętno swoje na sprawach politycznych bierzącego dziesięciolecia. Zdaje się, iż powracamy do stanu rzeczy z roku 1860, do ogólnej antypatyi rządu wobec Słowian. Wprawdzie reakcya przeciw temu nienaturalnemu polsko-niemieckiemu przymierzu budzi się, ale akcya jej słabo się rozwija, najruchliwszymi okazują się Słowacy na Węgrzech i Rusini w Galicyi. Zrazu podniesiono wśród ludności słowiańskiej myśl wysyłania tłumnych deputacyi do cesarza, ale dziś po doświadczeniu, jakie zrobili Rumuni, których deputacyi cesarz nie przyjął, zamiaru tego zaniechano. Nie pozostaje nam nic innego, jak liczyć na siebie: „pomóżmy sobie, a Bóg nam pomoże!“

Słowianie odczuwają dobrze trudność położenia, w jakim się znajdują od roku 1860. atoli powinniśmy być przygotowani na stan rzeczy jeszcze gorszy. Słowianie austryaccy powinni bardziej zbliżyć się ku sobie. Pielęgnowanie uczuć braterskich przypadło w udziale w pierwszym rzędzie Młodoczechom, postępującym na czele ruchu słowiańskiego.

— Bitwa...

Przez chwilkę wpatrywał się w obraz, który się przed nim roztaczał, starając się całym wysiłkiem woli zdać sobie sprawę z tego, co widzi. Tak, Stanisław August patrzył na bitwę... Widział poruszające się kolumny wojska, słyszał ryki armat, czuł zapach prochu, słyszał jęki rannych... Tak, to bitwa była... Jakieś wojsko zdobywało okopy...

Król krzyknął przeraźliwym głosem.

— Oni! Poznałem ich...

— Oni...

— Zdobywają okopy... ach Boże!

— Widzisz... Króla na czele Polaków nie ma...

Z pod dłoni, które twarz Stanisława Augusta ukrywały słychać było urywane, spazmatyczne łkanie.

— Chodź dalej...

— Nie mogę... sił mi braknie...

— Chodź...

Niewiasta w bieli ujęła króla za rękę i wiodła za sobą. Szedł znękany, smutny. Ona pochyliła się ku niemu i rzekła półgłosem:

— Kościół św. Krzyża...

Król podniósł głowę, a spojrzenie jego zatrzymało się na postaci Chrystusa, który pochylił się ku ziemi na ramionach swoich krzyż dźwigał. Ledwie miał czas uklęknąć i przeżegnać się, gdy zdało mu się, że do uszu jego dolatują echa modlitwy, z piersi nabrzmiałej żalem wyrywającej się ku niebu.

Odwrócił się i stanął osłupiały.

Cały plac przed kościołem św. Krzyża, w dół do pałacu Karasia, ku ulicy Oboźnej, w prawo ku Nowemu Światowi i Łazienkom, był wypełniony tłumami modlącego się ludu. Przodem niesiono chorągwie, krzyże, postępowali księża, ubrani w ornaty, a za nimi płynęła żywa fala ludu... Wszyscy, jak pokutnicy, postępowali z pochylonemi głowami i jękiem modlitwy napełniali powietrze.

Przed twe ołtarze zanosim błaganie
Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!..

Krol zatrzymał się pełen zdziwienia i niepokoju. Nieznane stroje, nieznani ludzie, nieznane śpiewy, wszystko to było czemś niepojętem dla niego. O jaką to utraconą Ojczyznę i wolność modlą się ci ludzie?

Niewiasta w bieli odgadła myśli króla, ale nic nie rzekła; ujęła go tylko lekko za ramię i w ten sposób zmusiła niejako odwrócić głowę w inną stronę, w której szmer jakiś miarowy, jednostajny, słyszeć się dawał.

Oczy jego uderzone zostały widokiem kolumn wojska, postępujących w zwarciu krakowskiem przedmieściem. Błyszczały do słońca bagnety, migały wydobyte z pochew pałasze oficerów, a ten wąż pstrokaty posuwał się równą linią wprost ku owym ludziom modlącym się — i stanął.

Oni... szepnęła niewiasta.

Król ledwie oddychał z przerażenia i powtórzył bezwiednie:

— Oni... zawsze oni...

Tymczasem z jednej strony płynęła modlitwa, z drugiej — wysunęły się równolegle do ziemi lufy karabinów, a po chwili rozległ się głos komendy moskiewskiej:

— Pli...

Błysnęły ognie, echem wystrzałów napełniło się powietrze, a głosy modlitwy mięszały się z jękiem rannych, z westchnieniem konających.

Król podniósł rękę do góry, biedz począł ku strzelającym żołnierzom i z całej piersi wołał:

— Stój! Stój!

Płacze, jęki, krzyki, huk wystrzałów przygłuszały wołanie króla.

— Nie wstrzymasz ich — zapóźno...

— Czemże ten tłum zawinił?

— Niczem... On pokutuje tylko za pokorę dziadów i ojców.

— Ach, prowadź mię ztąd! Prowadź! uchodźmy! — zawołał król głosem błagalnym. — Nie chcę patrzeć... nie mogę...

Przewodniczka rzekła mu spokojnie:

— Wróćmy... W zamku czekają na ciebie goście...

Myśl powrotu uradowała króla. Odetchnął

Kwestya słowiańska jest kwestyą egzystencyi dla Austryi, Słowianie austryaccy nie powinni przestawać na małem, ale wszelkiemi siłami dążyć do osiągnięcia tego stopnia niezawisłości, jaki im się należy po prawie.“

* * *

Słowackie „*Narodnie Noviny*“, wychodzące w *Turczańskim św. Marcinie* na Węgrzech rozpisują się o ostatnim wystąpieniu Kolomana Tiszy:

„Wreszcie odezwał się znowu stary lis. Koloman Tisza był w Wielkim Waradynie i tam mówił szeroko o różnych sprawach publicznych, jako też o kwestyi narodowościowej na Węgrzech. Uskarżał się, że go ludzie napastują niewinnie, że powinni mu dać spokój, gdyż dopiero po śmierci skutki jego działalności mogą się okazać. Nieborak sądzi, że go mają za niewiniątko, że świat nic nie wie, ile nabroił złego. Mówił, że trzeba pracować przedewszystkiem nad wzmocnieniem stronnictwa liberalnego, że nowe ustawy kościelno-polityczne powinny być już dawno przyjęte.

Co rzekł w kwestyi narodowościowej, to puste frazesy. Za czasów jego ministrowania najwięcej prawa narodowościowe gwałcono.

Tisza mówił, że kwestya narodowościowa wówczas się pojawia, kiedy Madziarzy przechodzą kryzys. Tak było w roku 1875, kiedy Serbowie zaszli aż do sprzysiężenia. Wówczas atoli powiodło się rządowi węgierskiemu głowę sprzysiężenia dr! Mileticza uwięzić i wybuchowi przeszkodzić.

Jak widać, chciał Tisza zwrócić uwagę Madziarom na to, że Słowianie węgierscy wówczas głowę podnoszą, gdy widzą państwo w niebezpieczeństwie. Istotnej przyczyny akcyi naszej t. j. barbarzyńskiego prześladowania nie widzi, i rzecz całkiem ignoruje. Tisza chwali Słowian, że się naginają dobrowolnie pod jarzmo madziarskie. O kwestyi narodowościowej sądzi, że ona, jak inne kwestye, z czasem całkiem zniknie i przeżyje się.

Ustawa, zaprowadzająca język wykładowy madziarski w szkołach jest pożyteczną, bo dała sposobność ludowi słowackiemu nauczenia się po madziarsku.

Tisza przyznaje, że trzeba od czasu do czasu pofolgować, aby kwestyą narodowościową uciszyć. Pod tym względem mają obowiązek zręcznego manewrowania państwo i społeczeństwo. Rząd atoli powinien z całą surowością występować przeciw akcyi, mającej na celu sojusz narodowości niemadziarskich przeciw Węgrom.

K.

BADANIA NAUKOWE.

O ruchu etycznym.

Szkic historyczno-filozoficzny.

(Ciąg dalszy.)

W Niemczech mniej więcej w połowie bieżącego stulecia, bo około roku 1841 Ludwik Feuerbach broni zdania, że stosunki moralne same przez się *jedynie* są prawdziwie wzniosłymi i odpowiednimi. Około roku 1845 wskutek rozwijającego się nowoczesnego *światopoglądu* wyłania się ruch *niemco-katolicki* i wolnoprotestancki. *Niemco-katolicy* (Deutsch- oder Christkatholiken) na pierwszym „soborze“ w Lipsku w r. 1845 wypowiadają swoje wyznanie wiary, w którem zatrzymują najgłówniejsze dawne wierzenia stawiając jako zasadę obowiązującą odrzucenie prymatu papieskiego, zupełną wolność sumienia, tudzież swobodę krytyki i tłomaczenia Pisma. Podobne oświadczenie w listopadzie 1847 składa 112 obywateli w Magdeburgu. Obok tych prądów istocie wierzeń dawnych ostatecznie przychylnych, widzimy jednocześnie, budzący się ruch etyczny. W roku 1843 Dr. Kleinpaul wydaje broszurę p. t. „Podniesienie myśli społecznej przez naukę. Słowo do wszystkich, życzących sobie postępu moralności“, w której poleca moralno-polityczny kierunek oświaty ludowej w przeciwstawieniu do kierunku dotychczasowego. Myśl ową stara się poprzeć w roku następnym przez wydanie katechizmu prawa i moralności. W roku 1847 zakłada Kleinpaul w Hamburgu wolną gminę, a w programie mówi: „Jest to stowarzyszenie duchowo-wolnych ludzi, którzy się łączą, aby to, co jest prawdziwie ludzkiem i naturalnem, w przeciwstawieniu do wierzeń dotychczasowych wpoić w świadomość ludu“. Na tem samem stanowisku stoi gmina w Marburgu, założona w lutym 1847 przez profesora uniwersytetu Bayrhoffera. Z czasem liczba *niemco-katolików*, stojących na stanowisku soboru lipskiego, wzrasta bardzo znacznie, bowiem na drugim „soborze“ w Berlinie w r. 1847 z około 200 już istniejących gmin reprezentowanych jest 150 (*podczas* kiedy do tego *czasu* tworzy się wszystkiego 7 gmin wolnoprotestanckich). Lecz zauważyć można wśród nich pewne skłanianie się do ruchu etycznego; drugi ten sobór nie obstaje już tak bezwarunkowo przy dawnem wyznaniu wiary, bo uchwala, że na zebraniach przyszłych mogą być reprezentowane i takie gminy, które przyjęły tylko zasady soboru lipskiego bez jego wyznania wiary. Doprowadziło to w dalszym ciągu do połączenia się niemcokatolików z wolnoprotestantami w związek gmin postępowych, które to połączenie po nieudanej próbie w roku 1850 przyszło do skutku w dziewięć lat później na zebraniu w Gotha. Odtąd przewodnictwo związku w miarę potrzeby ogłasza sprawozdania wykazujące wzrost prądu etycznego. Świadczą o tem usiłowania dążące do ustalenia i przybrania w formę zewnętrzną poglądów o celach związku, które miałyby być uznane przez każdą przynależną gminę. Sprzeciwiają się temu wprawdzie gminy wschodnio-niemieckie z jednej strony dlatego, aby nie stracić zwolenników, trzymających się jeszcze pewnych wierzeń, a z drugiej strony, aby uwolniwszy się od więzów dotychczasowych, nie dać sobie już narzucić nowego dogmatu. Gminy te powstają pod wpływem szczerze religijnego kaznodziei wolnej gminy w Królewcu, Juliusza Rupp'a. Tenże w wydanej w roku 1873 pracy o religii i moralności pisze: „....Tylko o ile człowiek sam czemś jest i sam do siebie należy, — o ile pod własnym wpływem działa, uważając się przytem za cząstkę całości, *niesioną* przez odwieczne siły wszechświata i wśród jego praw niezmiennych istniejącą: o tyle tylko znajduje się na drodze do doskonałości“. *Bardziej przychylną* dawnym poglądom jest również część peryodycznej prasy wolnych gmin, jak „Reformblaetter“ Th. Prengla w Królewcu, „Denk nach“ (Blaetter zur Foerderung des sittlich-religiösen Lebens) Schultzky'ego w Insterburgu, „Die Morgenröthe“ Karola Voigta w Offenbachu i „Es werde Licht!“ Karola Scholla w Norymberdze*). Przeciwnie wybitnie moralistycznemi są: centralny organ gmin postępowych w Niemczech „Das Neue freireligiöse Sonntagsblatt“ Dra. Völkla w Magdeburg-Sudenburg, „Die freireligiösen Herzensfragen“ Bursche'go w Magdeburgu, i „Der Bruder“, Zeitschrift des Bundes für volle Menschlichkeit, w Gruna, obok Drezna, na czele którego stoi „brat“ Jan Guttreit.**) Ostatni odświeża poniekąd poglądy Jana Jakóba Rousseau'a, zalecając zżycie się z naturą; nakazuje też bezwzględne hołdowanie prawdzie i głosi często już powtarzaną zasadę pilnego wsłuchiwania się w głos sumienia. Wybitnymi przywódzcami etycznego ruchu są też Dr. Bruno Wille (który następnie przekonania

*) Tu zaliczyć też należy pracę Chr. Elssnera „Materialien zum Religionsunterricht in den fr. prot. Gemeinden, Alzey, Ackermann, 1882. G. Schneidera: „Was erstreben die freireligiösen Gemeinden?“ Mannheim 1889 Haas & Comp., W. Hieronymi'ego „Grundgedanken und Unterscheidungslehren der freireligiösen Gemeinden“, 10. wydanie 1884 nakładem Morgenröthe w Offenbachu; Jana Bohla „Lebensregeln“ własnym nakładem w Magdeburgu wydane. G. Tschirn'a rozprawy „Ueber den Religionsbegriff“ w „Neues freirelig. Sonntagsblatt“ 1889 p. 385, 1890 p. 246, 250.

**) Por. artykuł Dra. B. Wille'go p. t. „Der Naturprediger Guttreit“ w czasopiśmie „Freie Buhne fur modernes Leben“ (obecnie „fur den Entwicklungskampf der Teil) zeszyt 15. z 15. kwietnia 1891.

---

głęboko jak człowiek, który zmęczony bardzo usiadł odpocząć.

Zdziwienie ogarnęło go jednak, gdy ujrzał na zamku salę tronową, w całym blasku i przepychu oświetlenia. Ale sala była pusta. Tron złocony, na którym w gronostajach i w koronie siadywał, znikł kędyś, pozostały tylko marmury, posągi, kominki wspaniałe, malowane sufity, żyrandole. On, król, siedział pokornie i cicho w kąciku i z uczuciem smutku na pustą salę patrzył. W tem spostrzegł zdziwiony, że ku niemu zdąża nieznana wojskowa postać, w galowym mundurze, z pióropuszem — postać sztywna, nadęta.

Król mimowolnym ruchem głowę naprzód trochę wysunął, pytające spojrzenie w postać, zdążającą ku niemu, utkwił i czekał...

Postać ta o kilka kroków od króla zatrzymała się.

— Czego sobie Waćpan życzysz? — zapytał.

Nieznany hardo spojrzał na króla.

— Jestem Hurko...

Nazwisko to zastanowiło krola.

— Hurko? Pisarz grodzki litewski?

— Nie, jenerał w służbie rosyjskiej...

— A cóż waćpan tu robisz?

— Jestem sługą Najjaśniejszego Pana Aleksandra III, króla polskiego.

Stanisław August pochylił się jakgdyby pragnął dokładniej słyszeć mowę Hurki. Słyszał ją, ale nie był pewny tego, co słyszy.

— Aleksandra? Jakiego? Co?

— Aleksandra III, cesarza Wszech-Rosyi... Z jego rozkazu sprawuję rządy i opiekę nad tym krajem buntowniczym...

— Co Waść powiadasz? Buntowniczym? Czy dobrze słyszę?

— Buntowniczym...

Czegoż ci ludzie pragną?

— Innego niż my życia, innej, niż nasza wszechrosyjska ojczyzna.

— Ależ Waćpan zapominasz, że my jesteśmy narodem wolnym, że posiadamy własną ojczyznę, milszą dla nas niż wszystkie najpiękniejsze na świecie.

Niewiasta w bieli skinęła ręką i w sali znowu nie było nikogo.

— Teraz zaprowadzę ciebie do pokoiku narożnego... i pokażę ci to, na co prawnuki twoje patrzeć będą.

Przypomnienie tego saloniku uspokoiło nieco króla. Tu lubił przesiadywać samotny i tu z Elżunią upływały mu chwile szczęśliwe.

Niewiasta przyprowadziła go do fotelu.

— Usiądź... — rzekła — zmęczony jesteś.

— O, bardzo.

Ledwie usiadł i podniósł oczy przed siebie — wzrok jego znieruchomiał w jednej chwili. Cała postać króla wyprężyła się, głowa wysunęła się naprzód, jakby spojrzeniem pragnął przeniknąć i odgadnąć to, na co patrzył i co zdawało się wstrząsać nim do głębi. Na placu Zygmunta, na tym samym placu, na który patrzył przed chwilą roiły się tłumy ludzi obdartych, w łachmanach. Jedni z nich mieli głowy pochylone, twarze smutne, tym niemym smutkiem rozpaczy, który wstrząsa każdą duszę ludzką; inni rozpalone gorączkowe spojrzenia utkwili w mury zamku, jakgdyby tam pragnęli znaleźć bodaj promyczek nadziei, z upiorem maniaków, którzy nie mogą oderwać oczu od jednego punktu. Nędza, pognębienie, niepewność jutra. trwożliwa obawa o to, ażeby jutro nie odebrano ostatniego kawałka chleba ich dzieciom, matkom, ojcom, braciom, malowało się na tych twarzach wychudzonych. Ukryte, ciche cierpienie gniotło ich myśli, łamało ich ducha, osłabiało wolę, zbijało dumę ludzką i wielką siłę moralną. Nad tym tłumem pognębionym, strwożonym strzelała w górę kolumna Zygmunta, a król jakby na urągowisko tłumom trzymał w ręku szablę — papierową,

swoje zmienia) i E. Vogtherr w Berlinie. Do związku gmin niemieckich należały też dawniej gminy we Wiedniu i w Gracu, lecz od roku 1874 z przyczyn politycznych trzymają się zdala. Organ bezwyznaniowego stowarzyszenia we Wiedniu, redagowane przez Edwarda Schwelle czasopismo „Der Lichtfreund“, nie propaguje ściśle moralistycznych tendencyj. Podobnie rzecz się ma z niemco-katolickiem stowarzyszeniem kościelnem w Saksonii, w skład którego wchodzą gminy w Dreźnie, Lipsku, Chemnitz, Zwickau itd. Jest ono nawet od roku 1848 prawnie przez państwo uznanem i od lat dwunastu pobiera subwencyę skarbową, lecz od czasów Beust'a nie ma prawa łączenia się z innemi wolnemi gminami.

Prócz tego stronnictwa postępowego istnieje jeszcze w Niemczech stronnictwo wolnomyślne. 10. kwietnia 1881 powstaje stowarzyszenie wolnomyślnych dla zjednoczenia niemieckich wolnomyślnych i wzmocnienia ich walki przeciw błędnym poglądom dotychczasowym. Ten wrogi wierzeniom kierunek przejawia się w pracach przywódzców: Büchnera, Spechta, Rüdt'a, Sterna i innych, którzy działają w ściśle moralistycznym duchu. Mimo to postępowi i wolnomyślni upatrują między sobą dużo pokrewieństwa. Tak oświadczył kaznodzieja wolnej gminy wrocławskiej Hofferichter na synodzie szląskim w roku 1882, że „różnica leży tylko w nazwisku i w organizacyi.“ Pokrewieństwo to uwidacznia się też na walnych zebraniach w Magdeburgu w roku 1889 i w Hannowerze w roku 1890. W Berlinie zakłada Dr. Franciszek Huber w roku 1889 towarzystwo etyczne „dla podniesienia postępu etycznego.“ Celem towarzystwa jest przyczynianie się do uzyskania i utrzymania powszechnego dobra przez wykłady dla dorosłych, a naukę dla dzieci. Niewrogie wierzeniom poglądy tego towarzystwa zmieniły się dopiero na ściśle moralistyczne po wstąpieniu Hubera i objęciu kierownictwa przez Wille'go i Völkla.

W roku 1851, w którym ruch postępowy znajduje się na punkcie kulminacyjnym rozwoju, istnieje około 312 gmin, obejmujących około 150,000 dusz. W latach następnych — pod wpływem reakcyi — liczba ta maleje, tak, że w roku 1869 jest już tylko 68 gmin: w roku 1891 istnieje w Niemczech około 92 gmin z 34,000 członkami a niektóre gminy dość znaczne nawet posiadają fundusze. Związek wolnomyślny liczy około 411 członków, nadto w skład jego wchodzi jedenaście stowarzyszeń z liczbą członków około 1200. Wśród wybitniejszych zwolenników ruchu widzimy nadto Fryderyka Vischera†), Lichtenberga††), F. A. Lange'go†††), A. Dulk'a, Maksa Nordau'a†*), A. Ruge'go, Eugenjusza Richtera, Liebknecht'a etc. etc.

Przechodzimy teraz do ruchu etycznego *w Ameryce*, zainicyowanego przez Niemców. Przybysze niemieccy, jak Schröter, Schramm, Loose i Schünemann-Pott zakładają w Ameryce w roku 1846 około 40 wolnych gmin, z których najważniejszemi były gminy w Nowym Jorku, Filadelfii i Milwaukee. W roku 1859, w którym w Niemczech odbywa się połączenie niemcokatolików z wolnopretestantami, i w Ameryce kilka gmin wolnych łączy się w związek, którego stanowisko wobec dawnych wierzeń bardzo jest podobnem do stanowiska, zajmowanego przez niemieckich postępowców. W roku 1865 zjawia się na trzecim zjeździe związku wolnych gmin niemieckich w Gotha Schünemann-Pott jako delegat związku amerykańskiego, skutkiem czego uchwalonym zostaje wniosek, co do utrzymywania stałej korespondencyi z braćmi w Ameryce.

W roku 1872 związek gmin wolnych w Ameryce na zebraniu w Milwaukee uchwala między innemi następujące zasady:

1) Uznajemy *jedynie* bezwzględne panowanie rozumu na wszystkich polach działalności ludzkiej.

— — — — — — — — — — —

4) Uznajemy, że rozum jest *jedynem* źródłem prawdziwej etyki, że słuchając przepisów jego wspólnie nad postępem i wydoskonaleniem ludzkości pracujemy.....-

Część tych gmin przystępuje następnie do założonego w roku 1876 związku radykalnego, który odrazu na stanowisku moralistycznem staje. Właściwy kierunek etyczny okazuje się nietyle z zasad związku, obstających tylko przy bezwzględnem warowaniu *ustawowo* zagwarantowanej wolności sumienia, ile — jak wszędzie — z oświadczeń przywódzców, jak C. Hermana Boppe'go w jego czasopiśmie „Freidenker„ i w „Freidenker-Almanach“, Karola Heinzena w „Sechs Briefe an einen frommen Mann“, pani Jadwigi Henrich-Wilhelmi w wygłoszonych przez nią odczytach i Maksymiliana Grossmanna w znanym jego pamflecie. W roku 1880 było w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej 198 niemieckich wolnych gmin i stowarzyszeń.

Zainicyowany przez Niemców ruch etyczny ogarnia z czasem Anglo-Amerykanów, którzy już po dość krótkim czasie o wiele szybszym od tamtych poszczycić się mogą rozwojem. Wspomnianemu związkowi radykalnemu odpowiada anglo-amerykańska „american secular union“. Zakłada ją F. E. Abbot jako „liberal league of North-Amerika“ w roku 1876 w Filadelfii, przedewszystkiem dla zwalczania zabiegów państwa, klerowi zbyt przyjaznych. Mimo to tendencya skierowaną jest przeciw wierzeniom samym, czego dowodzą: Roberta Ingersolla „Oration on the Gods“, „How Man makes Gods“, „Law, not God“; dalej „The Boston Investigator“, found. by H. Seaver; „the truthseeker“, New-York, found. by Bennet; „Free Thought, San Francisko“, Cal., ed. by Putnam and Macdonald. Bardziej umiarkowanym jest Paweł Carus, wydawca sekularystycznego czasopisma „The open cowit“ i „The Monist“, autor dzieła p. t. „Fundamentae problems“ (Chicago, 1889), w którem współczesne zwątpienia rozwięzuje sentencyą: „Nie wiara, ale ufność. Miejmy ufność w moralny porządek świata, ufności tyle gdyby ziarnko gorczycy, żyjmy i dążmy bez zmęczenia“. W roku 1885 „american secular union„ obejmuje przynajmniej 275 towarzystw. Liczba ich następnie w prawdzie maleje, lecz w roku 1889 na kongresie w Filadelfii prezydent Westbrook — ze skutkiem zdaje się — stara się o powetowanie poniesionych strat.

†) por. art. Vischera p. t. „Gervinus und die Deutschkatoliken“ w Schweglera „Jahrbuch der Gegenwart“ 1845 i dzieło p. t. „Auch Einer“ 3. wyd. w Stuttgarcie 1884.

††) Lichtenberg, vermischte Schriften, Göttingen 1867

†††) Lange — Historya materyalizmu — 3. wydanie 1877.

†*) Nordau: Die convestionellen Lügen, 12. wyd. 1886.

Dr. Garfien,

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LITERATURA I SZTUKA.

JERZY GIŻYCKI.

(Wspomnienie pozgonne.

Co czynił i uczynił Giżycki dla nauki, o tem świat uczonych zapomni pewnie prędko. Specyalne monagrafie o Schaftesburym i Humie podobały się w swoim czasie (1878 80) krytyce naukowej. Reszta zaś jego prac nie była przeznaczoną do gabinetu i bibliotcki. Tutaj należą i u nas sympatycznie (1883 w przekładzie) przyjęte „Zasady etyki,“ rozszerzone w kilka lat później pod nazwą „Filozofii moralnej“ (przełożonej na angielskie). Dalej przekłady, dokonane z dzieł amerykańskich etyków-praktyków: tłomaczenia mów moralnych Stouton Coit'a, Saltera, Adlera i innych, drobny szkic o Kancie i Schopenhauerze (1888). Wreszcie ostatnie lata jego życia wypełniła całkowicie działalność publicystyczna. Wraz z kilku innymi — a w szczególności przy współudziale tajnego radzcy Förstera — powołał do życia „Towarzystwo niemieckie kultury etycznej“, o którem niejednokrotnie już była mowa w Prawdzie, wydawał pismo, poświęcone tej misyi p. t. „Kultura etyczna“ i sam pisywał

na której wrony, usiadłszy, krakały. Na czoło tego tłumu, bliżej ku zamkowi wysunęło się kilkanaście postaci; jedne z nich były w mundurach — moskiewskich, drugim błyszczały na klapach od surdutów ordery — moskiewskie, innym sypały się na ziemię z kieszeni, przeładowanych złotem, pieniądze — moskiewskie, które w lot rozchwytywała, kręcąca się obok, na usługach ich będąca zgraja hołyszów i wisielców, oderwanych z szubienicy, w czapkach błazeńskich z dzwonkami.

Śród tłumu zgnębionego, przerażonego, budzącego w sercu rozpacz i litość, snuły się jakieś postacie o lisiem spojrzeniu, utuczonych policzkach, czerwonych jak u upiorów, które poszturchiwały zuchwale każdego, wołając:

— Krzyczcie, krzyczcie bydlęta: niech żyje najjaśniejszy cesarz Wszechrosyi i pan nasz miłościwy.

Tłum wrzeszczał z przerażeniem:

— Niech żyje! Niech żyje!

Król drgnienie serca uczuł na te wykrzyki.

— Co to jest takiego? Co to za ludzie?

— To naród twój Najjaśniejszy Panie, który oddałeś w opiekę Rosyi.

Usta zacisnęły mu się bolem.

— Czegoż oni pragną? — spytał po hwili.

— Zapytaj tych, którzy się przedstawicielami nazywają... Stoją na czele narodu... Skiń ku nim — niech się zbliżą.

Król skinął.

— Jakie są wasze życzenia? Pocoście przyszli tutaj?

— Przyszliśmy podziękować za opiekę nad nami Temu, który w imieniu cesarza rządy nad nami sprawuje i o łaskę tylko dla nas wypraszać.

Król głowę pochylił. Zdawało mu się, że niedobrze słyszy.

— Łaskę? — powtórzył. — Prawo... — rzekł z naciskiem.

— Nam łaska wystarczy...

— Jakiejże łaski żądacie?

— Ażeby nam żyć pozwolił, a dzieciom naszym nie odbierał wszystkiego chleba.

— Nic więcej?

— Nic.

— Dokądże wy prowadzicie te tłumy? — Ojcowie ich byli bogaci, wolni, szanowani na całym świecie, a oni stali się albo żebrakami, albo pośmiewiskiem ludzkości i nic im więcej — tylko podłe, marne, głupie bez celu życie zostało! Precz! Precz gnojaki, którym do życia świeżego oborniku potrzeba i — spokoju.

Zakrył twarz obiema rękoma i w niemej rozpaczy pogrążony siedział. Tłum ruszał się jak fala i wył.

— Ty nas doprowadziłeś do tego! Ty! — wołały dusze pokornych nędzarzy.

Król słyszał to wołanie, ale ból zdławił mu gardło, zamknął usta i odebrał mowę.

— — — — — — — — —

Podniósł głowę — i wzrok jego padł na wielką szybę lustrzaną, w której ujrzał znaną sobie dobrze postać Elżusi.

Zaniepokojona nieobecnością króla, szukała go po całym Zamku — i ujrzała drzemiącego w fotelu. Nie śmiała budzić — wzrok jej obudził go.

Król odetchnął szeroko, zmęczonym oddechem i na Elżusię spojrzał z uczuciem rozrzewnienia.

— Ach, straszne miałem widzenie...

Elżusia wzrok na jego twarzy zatrzymała.

— Jesteś wzruszony... Podaj mi królu ramię... chodźmy...

W kilka dni potem Stanisław August opuścił Zamek Warszawski na zawsze i przeniósł się do Grodna.

Na pamiątkę
7 stycznia 1795 roku.

prawie w każdym numerze. Przy każdej sposobności przemawiał w obronie prawdy i dobra, ocierał łzę nieszczęśliwym, zdzierał z „filantropa“ współczesnego maskę obłudy i wskazywał możliwe i rozumne drogi zbawcze.

Nie zapominajmy również, że tę działalność rozwijał człowiek od najmłodszych lat życia, złamany chorobą, tknięty wiecznym paraliżem. Pomyślmy, ile woli trzeba było, jakim płomieniem paliło się to życie wewnętrzne, które wytworzyło dość energii dla zdobycia wykształcenia wyższego i — stanowiska profesora. Przez lat 17 wykładał on w uniwersytecie berlińskim. Starczyło mu woli i cierpliwości, aby przez lat tyle prawie że codziennie kazać się zawozić na wózku do audytoryum, usadawiać na katedrze i znosić z niej: starczyło tych uczuć, aby prócz wykładów z „logiki i teoryi poznania“ albo z „etyki,“ prowadzić jeszcze wykład publiczny o „historyi etyki“ — obliczonej na warstwy szersze słuchaczów z innych wydziałów i z ulicy. Na to może się zdobyć tylko wielki charakter.

Zasady jego filozofii nie powinny zajmować nas tu dzisiaj. Zapoznawano z niemi czytelników. Nie są one zresztą odmienne od tych, które wyznaje wielka szkoła etyków angielskich — oryginalne, niezrozumiałe. Są to zasady „eudemonizmu społecznego,“ najbardziej radykalnie pojętego, jasne i każdemu niezwykle łatwo do serca przemawiające. Kilka tylko notatek wystarczy, aby te rysy charakterystyki uwydatnić: „Stworzyć dobro i urzeczywistnić jego zwycięztwo — oto jest dzieło nasze, którego nie czyni za nas natura. — Człowiek rozwinięty zachowuje względem współbraci swoich, jako też względem całego wszechświata stanowisko jednakie, wolne, świadome siebie; to bowiem, co jest najwyższego w naturze, spoczywa w nim — wola...“ Tak oto brzmi dogmat: „zbuduj swe życie na celu moralnym,“ a tak znowu — nadzieja: „wierzymy, że przyszłe pokolenia będą lepsze i szczęśliwsze od nas..., że kiedyś zapanuje na ziemi państwo sprawiedliwości...“

Nie chodzi nam w chwili obecnej o tę szczyptę zasług, dla jakich wpuścic by miano Giżyckiego do panteonu nieśmiertelnych zdobyczy nauki, ale o człowieka, który siał „co dobre i wieczne i piękne,“ niepomny na swe siły karle, zniszczone, na zawiść i złość tych, z którymi walczył, lub do walki z nimi zachęcał.

Jest natomiast inne pytanie, ważniejsze może: dlaczego Giżycki pisał artykuły, wydawał pismo, dlaczego swe zdania w tłum ciskał, on, który o własnej sile zawlec się nie mógł z przed biurka do okna swego pokoju, aby spojrzeć na świat i ludzi... Zdaje nam się, że są dowody poważne, któreby dla zjawisk podobnych w świecie nauki, dziś już nader licznych (Huxley, Dargun, Guyau, Albert Lange), wskazać mogły tło wspólne. Gabinet uczonego obecnie zmienił niecco swój charakter dawniejszy. W celce mnicha nowoczesnego, zamkniętej od świata, czas wyrąbał okno, przez które płynie ciągła smuga światła dziennego, powiew z życia....

Leży przede mną z literackiej spuścizny po nim niewielka książeczka, w której pisał o Schoppenhauerze. I gdy tak rzucam po raz ostatni okiem na te książki, broszury i zapisane papiery, zanim kropkę postawię, jak gdyby sama z siebie, układa się grupa z tych dwu ludzi. Co za różnica! Jeden: sybaryta i egoista, który nigdy nie umiał sobie odmówić najdrobniejszej nawet rozkoszy materyalnej, niekiedy cynik, zarozumiały aż do bezczelności, surowy względem innych, pobłażliwy dla siebie — ten człowiek był apostołem niewiary w szczęście ludzkie, pesymizmu nieubłaganego. A tu po drugiej stronie: człowiek cichy, skromny, jak ewangeliczna anielica, altruista aż do zapomnienia, aż do wzgardzenia sobą samym. Giżycki, niby ślepy Dühring, piszący o wartości życia, marzył o szczęściu powszechnem, żądał go dla ludzkości, przepowiadał jej ostateczny tryumf. W tej różnicy, której zawartości nie wyczerpujemy tutaj, mieściła się duża suma nieśmiertelnych zalet duszy seraficznej, ktora uleciała od nas przed kilku dniami.

P. O. R.

Jeszcze o restauracyi *ruiny kościoła N. P. Maryi* w Inowrocławiu.

II.

Artykuł mój z nr. 9 „Przeglądu“ wywołał w nr. 62 „Kuryera Poznańskiego“ pożądaną odpowiedź od osoby obeznanej widocznie ze stosunkami inowrocławskiemi, zaopatrzoną różnemi cennemi objaśnieniami i mniej trafnemi wywodami, z któremi chciałbym w streszczeniu zapoznać czytelników „Przeglądu“, a potem udzielić na nie bezimiennemu autorowi kilka słów odpowiedzi.

Z repliki domyśliliśmy się, że wiadomość udzielona na czele zeszłego artykułu naszego za „Dziennikiem“ i „Kuryerem Poznańskim“ była niezupełnie trafną, gdyż pisma nasze codzienne, powtarzając ją w streszczeniu podług „Dziennika Kujawskiego“ przedstawiły sprawę w niewłaściwem świetle, podając, iż podług planu na życzenie ks. Arcybiskupa przez prof. Rinklackego sporządzonego, przyjęto, że „z ruin miała być zbudowaną fasada“. Sprowadziwszy nr. 34 „Dziennika Kujawskiego“ przekonaliśmy się z niego, że nie plan kompletny, lecz „szkic“ ten prof. Rinklackego inaczej był obmyślany. „Kościół miał stanąć na starym cmentarzu; z ruin miała być *zachowana* fasada, a wieże, do dawnej wysokości odbudowane, stanowić miały front nowego kościoła. Kościół nowy projektowany w stylu romańskim, przedstawiałby się we formie równoramiennego (greckiego) krzyża o 3 nawach, nad którego przecięciem wznosić się miała ze środka kościoła potężna romańska wieża.“ „Dziennik Kujawski“ uważa ten pomysł, do którego przedłożenia potrzeba było prawie 2 lat czasu, za świetny i polecenia godny i z żalem wyraża się, że ze strony rządowej doznał rekuzy. Pan minister oświaty uzasadnił odmowną swą odpowiedź tem, że w prowincyi, tak ubogiej w zabytki starożytne sztuki, jak nasza, żadną miarą nie może przyczynić się do rozwalenia kościoła, który sięgając początków XIII wieku, przedstawia się jako najstarszy zabytek sztuki romańskiej w naszych stronach. Zachowanie ruiny jest nadto nietylko życzeniem rządu i archeologów, którzy, jak naczelny konserwator z Berlina, Persius, tylokrotnie wskazywali na historyczną i archeologiczną wartość tej prastarej ruiny, ale nawet życzeniem społeczeństwa polskiego. Podczas obrad sejmowych domagali się przed kilku laty właśnie posłowie polscy bardzo stanowczo zachowania ruiny, nazywając barbarzyństwem i wandalizmem (sic!) myśl zburzenia tych świętych murów. Niemniej energicznie opierał się zniszczeniu ruin śp. ks. Arcybiskup Dinder — owszem, żądał od rządu funduszu na ich wyrestaurowanie i utrzymanie. To się też stało. Przed dwoma laty poprawiono żelazne drzwi i ponaprawiano mury — państwowym funduszem... Zważywszy nadto, że budując kościół na starem miejscu, zburzyć by trzeba tyle grobowców, naruszyć tyle grobów, ministerstwo nie może się przychylić do prośby parafian — tem mniej, ponieważ jest poddostatkiem wiele innych, równie pięknych miejsc pod nowy kościół.

Wobec tej najnowszej odpowiedzi p. ministra i wobec uchwał korporacyi kościelnych, które skutkiem tego zgodziły się już pono ostatecznie na obór n o w e g o miejsca pod n o w y kościół, sądzićby pozornie można za autorem repliki kuryerowej, że „wszelka dyskusya nad kwestyą przebudowania ruin kościoła Panny Maryi na kościół parafialny, nie ma już obecnie żadnego praktycznego celu.“ Ponieważ jednak to obmyślane miejsce pod nowy kościół nie zostało nigdzie zakupione, lecz wybrane w ogrodzie proboszczowskim, na wolnym placu, utworzonym przez dwie krzyżujące się ulice, cofnąćby więc tę uchwałę można bez żadnych trudności. Dalej rysunków dotąd jeszcze nie sporządzono pod nowy kościół, a ponieważ przy obecnym stanie rzeczy naprzód o „szkicach“, a nie o projekcie do nowego kościoła, mowa być może, sądzilibyśmy więc, że do uwzględnienia poruszonej przez nas idei przywrócenia ruinie odpowiedniego znaczenia obok nowego kościoła przy opracowaniu nowych szkiców pora jeszcze nie jest spóźnioną. W tem też przekonaniu do niej jeszcze raz powracamy.

Z wyjaśnień Kuryerowych dowiadujemy się, że „już od r. 1734 (ma być 1834!) tj od chwili gdy kościół N. P. Maryi spłonął, nie ustawano w zabiegach o odbudowanie tej prastarej świątyni. Zbierano składki, przygotowano nawet drzewo i sporządzono rysunki.“ Lecz co się z tem wszystkiem stało i dla czego zaczętego dzieła do żadnego nie doprowadzono końca, tego autor repliki nie podaje; wspomina tylko iż „w ostatnich latach upadł ten projekt już dla tego, ponieważ wobec olbrzymiego wzrostu parafii dla potrzeb parafian kościół tak mały aniby w części nie wystarczył.“

Parafia inowrocławska liczy obecnie około 14 tysięcy dusz; a „budowniczy powiatowy“ uznał przed 6 laty, gdy parafia 3 tysiące mniej, niż dzisiaj dusz liczyła, potrzebę takiego kościoła, któryby najmniej 1259 kwadratowych metrów obejmował. Podług dotychczasowego doświadczenia wzrasta w ostatnich latach liczba parafian w Inowrocławiu tak gwałtownie, że np. w ostatnim roku przybyło dusz 157. Wzrost ten idzie w parze z wielkim przemysłem fabrycznym, jaki się w ostatnich latach naokoło Inowrocławia wytworzył i zwłaszcza na lato mnóstwo przelotnego robotnika z obcych stron skupia w parafii inowrocławskiej. Wobec takich stosunków będzie zapewne nieuniknioną rzeczą pomyśleć wkrótce o budowie *trzeciego* kościoła; temu zaś chciano zapobiedz przez budowanie kościoła na 3000 nabożnych podług szkicu prof. Rincklake'go. Że projekt taki pośredni, dążący do wybudowania obszernego *nowego* kościoła na starem miejscu z zachowaniem najważniejszych (?) pod względem architektonicznym części ruiny“ nie mógł mieć powodzenia w oczach rządu, żądającego stanowczo zachowania ruiny, było łatwem do przewidzenia. A nie ostałby on się także i wobec krytyki kompetentnych znawców, gdyż przeinaczyć musiał zupełnie ruinę nie do poznania, tak że z głównych jej części, za jakie oprócz podstaw wieżowych i ściany nawowe uważać należy, zapewne nie wieleby co zostało na zewnątrz widzialnego, a znikałoby wobec nowego rozbudowania tak, że później niktby ani dopatrzyć się nie mógł, ani sobie wyobrazić, jak pierwotnie dawny kościół N. P. Maryi wyglądał. Pomijając już sam zbytek 3 kosztownych wież, przy kościele parafialnym wcale nie uzasadnionych, to i rodzaj rekonstrukcyi takiej za wręcz błędny uważać musimy i za nieodpowiadający nowszym zapatrywaniom względem zachowywania lub podtrzymywania starych zabytków z przeszłości. (C. d. n.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Obrazki zamorskie.

III.

Buffalo. Na ulicach drewniane, z prostych desek zbite baraki. To przyszłe biura odbierania głosów. Kampania wyborcza rozpoczęła się na dobre i oba wielkie stronnictwa, demokraci i republikanie, walczą o to, które z nich owładnie sterem rządów miejscowych. Wszyscy tu mówią jedynie o wzajemnych fortelach. Miasto oddycha polityką. Jestem w przejeździe i nie mam czasu przypatrzeć się fizyognomii obecnej chwili, a tem bardziej sprawdzić tego, co mi fama przynosi. Mam po szyję utyskiwań, że korupcya weszła do organizmu Stanów Zjednoczonych i toczy go w samem rdzeniu, że wielką rzecząpospolitą rządzi klika łapowników, którzy frymarczą dobrem publicznem. Nadmienić muszę, że obracam się w kołach inteligen-

cyi wychodźczej, która w nowej ojczyźnie jest jakby kropla oliwy na powierzchni wody — nie zlewa się z jej żywiołem. Rada municypalna, to zgraja opryszków, która przed niczem nie cofnie się, ażeby zapewnić zwycięztwo klice demokratycznej. Kluby, na wzór jakobinów, podczas wyborów teroryzują ludność, fałszują rezultaty głosowania, a przytem ustanawiają improwizowaną policyę, która ma oko na swoich i na wrogów. A ów boss Crocker, wielki kacyk stronnictwa demokrytcznego, to łotr, jakiego chyba dotychczas słońce nie widziało! Niegdyś członek jednej z owych band ulicznych, która wszystkiem trudni się potrosze — od wyciągania sakiewek z kieszeni do opieki nad nierządnicami, później bokser szynkowy i właściciel podejrzanego „salonu“ (tj. knajpy), rzemiosła dawne zamienił na rolę arcyzbira politycznego. I opowieści o nadużyciach płyną po opowieściach.. Ktoś pokazuje mi na ulicy mężczyznę. Nieuk, ale zręczny, cięty w języku, wyćwiczony w umiejętności mydlenia oczu. Jest agentem demokratów. Począł od pozycyi prostego pionka i wznosi się coraz wyżej w hierarchii partyjnej. Prosty wyżeł przed paru laty, dzisiaj ubiega się o stanowisko aldermana. Ktoś inny bierze rzeczy do serca spokojniej, chociaż osobiście oberwał guza w poprzedniej kampanii. Ale sam jest politykiem, więc tem samem zgadza się z losem walki. Wie, że kto wczoraj był na wozie, może znaleźć się też pod wozem. Kiedy republikanie zwyciężyli, naówczas przy podziale łupu publicznego, otrzymał miejsce w urzędzie pocztowym; gdy demokraci wzięli górę, poszedł precz z innymi. Gazety obrzucają wrogów wszelkiego kalibru pociskami. Przeglądam organy republikańskie. Rysunek przedstawia organizacyę demokratów, znaną pod nazwą „Tammany-Hall“ jako krwi chciwego tygrysa, jej przedstawiciele figurują tam, jako zbóje przydrożni, szefowie zamyślają o wskrzeszeniu starożytnej tyranii plebejuszów nad wszystkiem, co wyrosło po nad motłoch. Są oni zdrajcami kraju, bo przed każdemi wyborami stwarzają mnóstwo obywateli nowych, nie mających pojęcia najmniejszego o konstytucyi kraju, i takich wandalów prowadzą do urny, ażeby rozstrzygali o przyszłości. Istotnie, demokraci w takich chwilach na wielką skalę kupują głosy wychodców; polityczna ich potęga w okolicy jezior Wielkich, spoczywa na Irlandczykach i Polakach. Właśnie tylko co wyczytałem o jednym takim kandydacie, że podczas egzaminu, poprzedzającego przyjęcie, odrzekł jako nad Ameryką panuje cesarz Cleveland. Tego było zanadto i obywatelowi in spe kazano nauczyć się nieco konstytucyi nowej ojczyzny.

* * *

Pod wrażeniem atmosfery wyborczej w Buffalo, poczynam rozmawiać z kimś w wagonie o stosunkach politycznych rzeczypospolitej zamorskiej. Ów ktoś, to yankee z ojca praojca i jednocześnie demokrata — dwie właściwości, które na północy rzadko chodzą z sobą w parze. Idzie mi o zapatrywania rdzennego Amerykanina na politykę. Naturalnie, kładę nacisk na zepsucie. Yankee zżyma się na taką potwarz. Przyznaje, że w świecie polityków bywa różnie, — ale winę zwala na republikanów. Wyborcy bynajmniej nie są trzodą bezwiedną, taką rolę odgrywają tylko *scabs* emigracyjni. Ludności potrzeba, ażeby ktoś bronił jej interesów i chodził zabiegliwie a skrzętnie około prawodawstwa. Bierze więc nicponiów nawet, byleby wywiązali się z tego obowiązku. Lecz toleruje politykerów, póki ci działają w zgodzie z potrzebami wyborców, gotowa ich porzucić kiedy skrewią. Że wyrzucają wrogów z posad i dzielą się urzędami, rzecz to małej wagi: ludzie, którzy czatują na senekury, są mało warci. Swój swego tam gryzie: republikanin — demokratę. Ale każdemu sprawiedliwość kark skręci, jeżeli dopuści się poważniejszych nadużyć. Dowodem niechaj będzie sprawa elmirska. Dyrektor tamtejszy lat wiele broił, puszczał w świat olbrzymie sprawozdania o rezultatach swojej działalności pedagogicznej względem więźniów. Sława reformatoryum w Elmirze rozbrzmiewała daleko: za granicą pisano książki o dodatnich skutkach nowej metody. A tymczasem działy się tam nadużycia jak największe: dyrektor katował winowajców i znęcał się nad nimi, nikogo nie poprawiał, raczej demoralizował. Sprawozdania owe, to humbug! Dzisiaj, kiedy to wszystko się ujawniło, wysoki dostojnik znajduje się pod sądem jako zwykły zbrodzień.

Zwolna namiętność polityczna ogarnia mego towarzysza. O! ten niecnota Mac-Kinley, który z innymi republikanami jest na żołdzie możnowładców przemysłu! A Harrinson, któremu kapitaliści kalifornijscy dali synekurę w uniwersytecie w San Francisco ten tchórz, który przed laty 30-tu zemknął z pola bitwy! Wyborcy republikańscy, to wielcy panowie, wydają duże pieniądze na stroje. To też demokraci zwyciężają, zwłaszcza, jeżeli deszcz pada, arystokratom bowiem szkoda surdutów i nie idą głosować. Jeszcze później opowiada o fortelu swoich przyjaciół politycznych. Domy nierządu w New-Yorku nie mają prawa istnieć, ale z potrzeby są tolerowane. Pewien ksiądz, republikanin, postanowił wyciągnąć je na światło dzienne, i pozwać przed sąd radę municypalną, demokratyczną. Udał się więc z „detektywem“ tj. agentem prywatnego przedsiębiorstwa tajnej policyi, aby wyszukać te nory. Ale ów agent, demokrata szczery, doniósł swoim o grożącem niebezpieczeństwie. Zanim więc sprawa poszła była do sądu, *World* narobił hałasu o demoralizacyi pomiędzy duchowieństwem: opisał wędrówki księdza, nawet podał jego portret w otoczeniu tańczących nagich kapłanek Izydy. Jakże nierząd nie ma istnieć, zapytuje dziennik, skoro posiada podobnych opiekunów. Duchowny został raz na zawsze skompromitowany. Yankee kończy swoje swoje opowiadanie wybuchem śmiechu, później niby punkt na końcu zdania, dodaje: *All right?*

* *

Ulica nr. 14 w New-Yorku. *Tammany Hall*, tj. dom klubu demokratycznego i zarazem ognisko najpotężniejszej kliki politykerów, nie cofającej się przed niczem, kiedy idzie o postawienie na swojem. Zywioły o najdrapieżniejszych instynktach czyhają tam, zorganizowane na wzór armii, i łupią municypalność nowojorską. Istna banda opryszków — przyznają to nawet przyjaciele Cleveland'a, nie tak nieskrupulatni. *Boss*, „pryncypał“, stojący na jej czele, był szynkarzem i bodaj że paserem, w knajpie jego schadzały się różne wyrzutki. *Tammany Hall* bez skrupułu zapuszcza swoje pazury w dobro społeczne. Municypalność nowojorska w jego ręku, wielu członków ciała prawodawczego jest kością z jego kości. Przeprowadzają oni mnóstwo bilów tylko po to, ażeby ich niespełniano. Powstaje moc drobnych przepisów, nader uciążliwych dla szynków, domów nierządu, jaskiń gry, nawet dla zakładów przemysłowych. Wszystkie te instytucye opłacają stały haracz klubowi, przez niego wyznaczany. W razie odmowy, jeden ze stróżów prawa przypomina, że tekst przepisu istnieje w zbiorze bilów obowiązujacych. Każdy urzędnik demokrata równie składa z swej pensyi stałą kwotę podatkową. A opłata, ściągana w ten sposób z jakiej firmy wynosi kilkanaście, nawet kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie. Słowem, organizacya rozporządza dużemi funduszami i jej *bossowie* żyją jak magnaci, chociaż nie sieją, ani orzą. Dawniej rzezieszck odpowiadał głową za rozbój, który mu przyniósł parę dukatów, dzisiejsi zbóje mieszkają w pałacach i krajem rządzą. Organizacya jest zwartą i karną, niby armia. U dołu stoi wielka rada, złożona z 5 tysięcy członków i regularnie zbierająca się co miesiąc. Każda dzielnica miasta wysyła liczbę, proporcyonalną do obfitości żywiołu demokratycznego. Rada wybiera z siebie sztab główny, z 60 członków, na którego czele stoi *boss*, posiadający nieograniczoną władzę wykonawczą, bo prawodawcza zależy od rady i sztabu.

Listy kandydatów, bile przyszłe do wniesienia w ciałach prawodawczych kraju, pomysły różnych fortelów, wszystko to pochodzi z łona komitetów specyalnych wielkiej rady, przetrawione w sztabie głównym i ostatecznie przyjęte, lub odrzucone przez „pryncypała“. Biada mu, jeśli błąd popełni — na jego miejsce czyha mnóstwo tygrysiąt! Sztab ów rozporządza oddziałem dojeżdżaczy — „kapitanów“, których jest przeszło tysiąc w Nowym-Yorku. Każdy pobiera żołd stały; jeśli dowiedzie swoich zdolności, czeka go karyera polityczna. Kapitan zarządza pewną dzielnicą, w której zna każdego demokratę. Co miesiąc składa do sztabu raport, który z tych demokratów umarł, lub przeniósł się gdzieindziej, kto przybył natomiast, lub został zwerbowany; jakie osoby pozyskują wpływ i czy można na nie liczyć. Według tych danych klub z góry oblicza, ile głosów może otrzymać w dzielnicy wyborczej. Jeśli okaże się mniej, to kapitan zostaje uznany za niezdolnego. Zwykle bywa on szynkarzem i w knajpie swojej przy absyncie obrabia interesy polityczne.

Tammany Hall hołduje w doborze swoich zastępów zasadom wolnej konkurencyi. Droga tam otworem stoi dla talentów. Nie pyta się o przeszłość, zwraca uwagę tylko na zdolności. Człowiek, najbardziej zbrukany w życiu, może być przyjęty i w miarę zasług wywyższony. Daje to organizacyi niezwykłą sprężystość, ale też pozbawia ją do szczętu skrupułów moralnych.

Towarzysz, oprowadzający mnie po klubie i opowiadający o tych szczegółach, to świeżo upieczony obywatel, obdarzony sporym zmysłem politycznym i jeszcze większą namiętnością. Nie jest ani demokratą, ani republikaninem, a przecież nie może ukryć wrażenia, jakie na nim wywarła agitacya obu tych stronnictw. Powiada, że dostał wprost gorączki narodowej, będąc świadkiem przeglądu zastępów demokratycznych, odbytego przez Clevelanda, podczas kampanii, która go wyniosła na prezydenta. Kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn przedefilowało wtedy przed swoim przewódzcą, sędziwi starcy szli w ordynku obok swoich wnuków. Rzęd sunął po rzędzie, dzielnica po dzielnicy, mając przed sobą z boków hufce dzieciaków. Zastępy maszerowały przy odgłosie śpiewu, który w paru wyrazach streszczał hasło, jednoczące w zwartym orszaku tyle głów. W takt muzyki brzmiała strofka bojowa!

Four, four
Years more!

tj. jeśli przegramy sprawę, jeszcze przez lat cztery będziemy musieli dźwigać republikańskie jarzmo polityki celnej. Ożywienie tłumów, solenne dźwięki marsza, łączność różnych pokoleń świadczyły, że ów pochód jest czemś więcej, niż popisem kliki politykerów. I republikanie podobnie maszerowali, tylko że inny *refrain* towarzyszył uroczystości:

Tin, tin,
Wil, win!

tj. „blacha wygra“ — z powodu bilu Mac-Kinleya w Ameryce rozwinęła się produkcya tego przedmiotu, dotychczas nie istniejąca. Blachę więc wzięto za symbol dodatnich skutków polityki celnej.

A takie pochody odbywały się wszerz i wzdłuż kraju. Malcy dziesięcioletni szli obok ojców, ucząc się szanować sztandar, pod którym walczyli dziadowie. Czas wyborów jest nieustającą uroczystością dla dziatwy. Nocami buchają ogniska na ulicy. Mały obywatel kradnie schodki z pod domów, rozbiera parkany, wyciąga deski z chodników i rozpala stosy, lub też śpiewając *four, four years more*, szturmem bierze ognisko wrogów. A kiedy partya „jego“ zwycięży, nie ma uciesze granic.

Należenie do partyi nie jest więc czczym wyrazem. Stronnictwa są zbiorem spokojnych obywateli, którzy za pomocą prawodawstwa chcą bronić swych interesów. Walkę zaś pozostawiają politykerom, swojego rodzaju zbirom. Niechaj ci intrygują i toczą wojnę, niech nawet popełniają nadużycia — ale w pewnych granicach. O tem wie polityker. Będzie rozdawał posady, ściągał podatki z domów nierządu, ale nie tknie szkolnictwa, cofnie sie przed zgwałceniem sądu, nie skrzywdzi obywatela, który żyje z czego więcej, niż z szulerni i szynku, nie podniesie ręki na konstytucyę ojczyzny. Bo wtedy jego własna partya zwróci się przeciw niemu.

K. R. Żywicki.

O prawdę.

W sprawie *dr. Kusztelana* nadesłał nam korespondent nasz S. S. wyjaśnienie, potwierdzające w całej rozciągłości wszystkie zarzuty, zawarte w artykule p. t. „Przyczynek do naszej solidarności narodowej“ (Nr. 8). Ze względu jednak na wątpliwości, które stanowczość zaprzeczenia p. *dr. Kusztelana* wzbudzić musiała, udaliśmy się do jednego z najpoważniejszych, ogólnie szanowanych i zasłużonych uczestników wiadomego zebrania z prośbą o najdokładniejsze, bezstronne informacye w sprawie podniesionej przez pismo nasze. Na list nasz odebraliśmy odpowiedź następującą:

Szanowny Panie Redaktorze!

Posłuszny wezwaniu Twojemu pospieszam zabrać głos w kwestyi, której traktowanie jest zaiste smutnem świadectwem naszej opinii publicznej. We wszystkich głównych punktach, a mianowicie co do ułożenia *poprzedniego* listy kandydatów polskich bez żadnego protestu i co do zerwania solidarności przez p. dr. Kusztelana i p. N. K. przy publicznych wyborach w hotelu rzymskim wobec postawionych wniosków polskich, — *jest prawdą to, co „Przegląd Pozn.“ napisał.*

Teraz pozwalam sobie sprostować w głównych punktach „sprostowanie“ czyli raczej *wykrzywienie* p. dr. Kusztelana. W szczegóły nie wchodzę najprzód dla tego, że uginam się pod nawałem zajęć publicznych, potem dla tego, że nic nie znaczą, a w końcu, że nie trzeba nadmiarem szczegółów odwracać uwagi od *zerwania solidarności.* Zresztą rezerwuję sobie również sprostawanie szczegółów na później, gdyby była potrzeba.

Na sali zgromadzonych było 8 Polaków i 8 Niemców uprawnionych do głosowania, — liczę do Polaków także i pana N. K. który ani na poufnem zebraniu ani w sali nie oświadczył nikomu z nas, iż nie ma prawa do głosowania, a wiedzieć o tem nikt z nas nie potrzebował, gdyż tak specyalnie ani pan N. K. ani jego włości nikogo nie obchodziły, aby miał się o tem dowiadywać: *Zresztą, skoro p. N. K. mimo to, że nie miał prawa, użył tego bezprawia aby po dwakroć głosować za Niemcem, toć* każdy obecny *miał prawo przypuszczać, iż pan ten legalnie postępuje. W każdym razie, jeśli wbrew prawu głosował na Niemca, to tak samo mógł wbrew prawu głosować na Polaka; z tego widoczne, że panu N. K. i adherentom tak bardzo chodziło o wybór Niemca, iż nawet nielegalności, o której niewiedzieliśmy wówczas, użyli* Wybór p. Grassmanna na dyrektora odbył się w ten sposób:

Gdy p. Grassmann zagaił wybory, zapytał się pan N. K., kto był dotychczas dyrektorem. Na odpowiedź, że jest nim p. Grassmann, zawołał: „Prosimy, aby pozostał! i przez *akklamacyą* wybór zaproponował. Wtórował mu pan dr. Kusztelan. Wtedy to, oburzony tem gwałtownem gardłowaniem powyższych panów za Grassmanem, wystąpił p. Niegolewski z wnioskiem, aby tym razem wybrać Polaka na dyrektora i zaproponował p. Głębockiego z Czerlejna. Uczynił to przy zapytaniu przewodniczącego, czy zgromadzenie propozycyą pana N. K. et consortes przyjmuje – wystąpił więc w zupełnie odpowiedniej chwili. *Ten wniosek p. Niegolewskiego został formalnie zakrzyczany przez głosy pana N. K. i dr. Kusztelana, którzy z energią, godną lepszej sprawy, bezustannie wołali, że wybór przez akklamacyą dokonany, że p. Grassmann już wybrany etc.* Pan Niegolewski pod wrażeniem tych krzyków naszych rodaków zamilkł, — a p. poseł Głębocki pod tem samem wrażeniem, niechcąc tej gorszącej sceny przedłużać, zrzekł się kandydatury i tak był oburzony tem niesłychanem zachowaniem się Polaków, iż chciał opuścić salę. Z tego opisu wynika, iż nad wnioskiem p. Niegolowskiego nie było wcale głosowania, gdyż pp. N. K. i dr. Kusztelan go zakrzyczeli a p. Głębocki wskutek tych krzyków kandydatury się zrzekł. W chwili gdy p. poseł Głębocki zamierzał opuścić salę przyszła mu myśl, iż może osoba jego taką niechęć w tych panach wzbudza, że się mogli do tego stopnia zapomnieć. Postanowił zatem wytrwać do końca i w celu przekonania się o tem postawił, gdy pan Grassmann zagaił wybór delegata do Berlina i gdy znów pan N. K. po zadaniu tego samego pytania i odebraniu tej samej odpowiedzi, co poprzednio, zaproponował, aby powtórnie przez akklamacyą wybrano pana Grassmanna na delegata, z swej strony wniosek, aby na delegata wybrać p. Niegolewskiego z Niegolewa. Postawił go w ten sposób, że nie kusili się wcale wiadomi panowie o zakrzyczenie go: — *przyszło do głosowania, przy którem wniosek p. Głębockiego upadł przeciwko głosom Niemców i pp. N. K., dr. Kusztelana i jeszcze trzeciego, którego nazwiska nie pamiętam.* Wybrany więc został na delegata p. Grassmann z Koninka i tenże w charakterze powyższym był obecnym na walnem zebraniu w Berlinie. Twierdzenie p. dr. Kusztelana, że delegatem wybrany został Polak jest prostym wymysłem. Następnie zaproponował p. Głębocki przepadłego p. Niegolewskiego na *zastępcę delegata* i tu jednogłośnie przeszedł. Z opisu powyższego jasno wynika, że sprostowanie p. dr. Kusztelana jest po prostu nieprawdą. — Z opisu tego wynika niestety i ten fakt smutny, że znalazło się kilku Polaków, którzy na publicznem zebraniu, w kwestyi, przy której chodziło o przeciwieństwo Polaków do Niemców, zerwali solidarność, stanąwszy po stronie Niemców przeciwko Polakom. — Ten postępek nie da się żadnemi wybiegami osłonić, gdyż, choćby i było mniej Polaków na sali niż Niemców, *to, skoro został polski wniosek naprzeciw Niemcom postawiony, obowiązkiem każdego Polaka było głosować za swymi bez względu na to, czy wniosek przepadnie lub nie.*

Kto inaczej postępuje, ten nie ma wyobrażenia albo o tem, co jest solidarność, albo o tem, co jest obowiązek solidarności.

I tem nie może p. dr. Kusztelan postępowania swego osłonić, jakoby chciano tym pięknym „manewrem“ zachować miejsca *zastępców dla Polaków. — Najprzód urzęda zastępców nie mają najmniejszego znaczenia, gdyż nie zdarzyło się jeszcze, aby kiedykolwiek zastępca przyszedł do wykonania swego urzędu.* — zachowanie więc takich urzędów dla Polaków doprawdy nie było warte tak „bohaterskiego“ poświęcenia się tych panów i tak wysokiej dyplomacyi; po drugie, Niemcy z całą gotowością zawsze wybierali w tem zgromadzeniu na zastępców Polaków bez przyczynienia się tych panów, których na przeszłych zebraniach wcale nie było, — z tej prostej racyi, że nie chcieliby Polaków zanadto krzyczącą niesprawiedliwością do tego doprowadzić, żeby z Towarzystwa wystąpili, — a jeżeli w tym względzie zaszedł jaki wyjątek kiedykolwiek, to przemawia on przeciwko argumentom p. dr. Kusztelana; i tak n. p. w przeszłym roku, gdy nie było żadnej opozycyi polskiej przeciwko Niemcom, wybrano na zastępcę delegata Niemca Senftlebena. W tym roku, gdzieżeśmy taki protest podnieśli, że tylko Niemców wybierają, Niemcy nie tylko się o to nie rozgniewali na nas, ale pod naciskiem naszych wniosków zrzucili p. Senftlebena i wybrali p. Niegolewskiego na pierwszego zastępcę delegata; nie uczynili zaś tego w uznaniu zasług pp. N. K i dr. Kusztelana, jakby to można z pisma tego ostatniego wnosić! Mówiąc na seryo, nie byłoby w takiem przypuszczeniu już dla tego sensu żadnego, ponieważ Niemcy, mając w zgromadzeniu większość, jak twierdzi p. dr. Kusztelan, nie potrzebowali wcale pomocy tych trzech Polaków do przeprowadzenia swych kandydatów na dyrektora i delegata, — a tem samem nie mogliby uznać takiej zasługi. — Tu się p. dr. Kusztelan sam zbija nie wiedząc o tem. Że pomienieni Polacy zasłużyli się w owej sprawie wobec interesowanych Niemców, o tem nie wątpię, ale o tem musimy wątpić, czy zapłatą za tę zasługę było wyniesienie Polaków do wątpliwej godności zastępców urzędników Niemców.

Zwracam Szanownemu Panu Redaktorowi zresztą uwagę na charakterystyczny sposób obrony p. dr. Kusztelana, który w sprostowaniu swojem tak uzasadnia głosowanie swoje za Niemcami: „A uczyniłem **to i dla tego także**, aby nie narażać na oczywisty szwank wyboru delegatów“. Ciekawem byłoby dowiedzieć się jakie są te i n n e i g ł ó w n e przyczyny, które skłoniły p. dr. Kusztelana do zerwania solidarności narodowej.

Dodaję jeszcze dla uzupełnienia opisu, choćiaż to rzecz poboczna, że zrzeczenie się kandydatury na dyrektora przez p. Głębockiego wobec krzyków pp. N. K. i dr. Kusztelana, nie nastąpiło wprost, lecz przez to, że przyjął kandydaturę na zastępcę, na którego też został wybrany. Minimalne, nieomal fikcyjne znaczenie tego urzędu wykazałem powyżej.

Za autentyczność podanych informacyi ręczę słowem honoru i odwołuję się na świadectwo pp. Niegolewskiego i posła Głębockiego.

Z głębokim szacunkiem
N. N.

NA WYŁOMIE.

(Nowy kwartał. — Lament „Kuryera Pozn.“ — Nieco o Atenach i Beocyi. — Harde dusze. — Rejterada.)

Z dniem pierwszego kwietnia kończy rok 1895 swe chłopięce dzieje, a pisma poznańskie utartym zwyczajem witają solenizanta. Czarna obwódka i posępny napis: „Czas odnowić przedpłatę“. A potem sprytna redakcya osładza gorzką pigułkę miodem najsłodszych obietnic. Jedna zapowiada Sienkiewiczowskie „Quo vadis“, inna znów zwierza się z wstydliwym rumieńcem, że sympatyczny *Maryan Gawalewicz* poprzysiągł jej miłość wieczystą i u nóg bogdanki pióro swoje złożył, a trzecia wreszcie, woła olimpijskim basem: „Biłam żydów i bić będę, jeno lepiej — łupu cupu!“ Cóż ja wam powiem w imieniu „Przeglądu“? Mamże na wzór „Kuryera Poznańskiego“ opowiadać z bolesnym uśmiechem męczennika, że świat cały „pragnie do trumny nas złożyć, a my wcale ochoty umierać nie mamy“. Nie! rozczulać was nie chcę przyjaciele moi. Straszne opowieści o złych ludziach, czyhających na zagładę bliźnich, macochach-czarownicach, siostrach i braciach wyrodnych, pozostawiam w tym dniu świątecznym, w którym rok jeden mija od chwili narodzin „Przeglądu“ — babom z pod kościoła i „Kuryerom poznańskim.“ Przeciwnie! dziś mi wesoło na duszy. Obliczam plony zebrane w całorocznej pracy i walce, wsłuchuję się w gwary opinii publicznej, analizuję głosy poważnej krytyki i widzę, że ofiary nasze, ból i trudy, nie poszły na marne. „Wyłom“ zrobiony, atmosfera czystsza, ludzie zaczynają wierzyć w te młode siły, które, nikogo o „list żelazny“ nie prosząc, do dzieła reformy przyłożyły rękę. A nie mogę sobie odmówić przyjemności, aby na tem miejscu nie przesłać uścisku dłoni braterskiej tej wielkiej drużynie pisarzy polskich, która błogosławieństwem witała nasze „Ateny w poznańskiej Beocyi“ — jak w liście noworocznym mówi nam jeden z krzewicieli literatury i wiedzy ojczystej. Może to nie wypada prezentować publicznie myrrhy i kadzidła, składane na biurku redakcyjnem, ale jest pewien symptomatyczny objaw w tych skłóconych melodyach, które huczą nad głową „Przeglądu“. Literatura i prasa innych zaborów widzi w nas źródło życia nowego na jałowem polu, źródło, tryskające po dwudziestoletniej suszy w dziedzinie poznańskiego piśmiennictwa, — rozbudzenie „głuchej krainy, z której Apollo na łeb i szyję uciekał, bo pięknu marzło w mętnych wodach dziennikarskiej tandety, politycznej jednostronności i dyletanckiej krytyki małych, wyższych i najwyższych powag wielkopolskich.“ A cóż mówi nam „wielka“ prasa tej ciaśniejszej ojczyzny, której służyć pragniemy, — cóż mówi społeczeństwo, które do życia wołamy. Dziwne, przedziwne to głosy: „Któż wam dał mandat zakładania pisma? Nie chcemy nowych dróg i świateł, bo w starem błocie i starej nocy wygodnie. Jesteście alarmistami i burzycielami. Importujecie obce wyobrażenia. My żadnych nauk nie potrzebujemy. Jesteście za młodzi, aby uczyć starych. Piszecie pięknie, ale to nas właśnie irytuje, bo niebezpieczeństwo ztąd rośnie. Przewracacie w głowach młodzieży humanitarną pobudkę. Odrywacie ją od studyów

zarobkowych. Głosicie bunt synów przeciw ojcom i wykolejacie młode pokolenia. Wasze ideały nikomu chleba nie dadzą. Niech się inni bawią w piękno, niech sobie gonią zagadki bytu i zdobyczami wiedzy europejskiej się pieszczą, — my Poznańczycy pragniemy tylko, aby nam nikt nie mącił spokoju i nie tykał tego, co utarte i uświęcone.“

Tak mówią „oni“ od samego początku istnienia naszego, a w głosach tych czuć najwyraźniej strach upadających wielkości, — trwogę Ibsenowskiego Solnessa, który blady, jak ściana, wyciąga rękę i woła, że „młodzież puka już do drzwi“. O! i my mamy naszych Solnessów. Zrazu mówili nam; „Nie rwijcie się młodzi! Czekajcie, aż my damy impuls.“ Potem zawrzeli gniewem, że ktoś bez sankcyi augurów buduje nową świątynię. Wreszcie rzucili klątwę... Wśród królików był jeden, co tron swój zbudował na niedołęstwie i apatyi społeczeństwa. Jest on zazdrosny, zamknięty i sprytny, lecz miewa niekiedy chwile wynurzeń. Pamiętam, mówi raz do mnie: „Strychulec jest podstawą władzy. Gdy ktoś łeb wytknie nad innych, zduszę go zręcznie i zrównam z poziomem. Tem stoję i ster dzierżę w rękach.“ Dowcipny augur! Nienawidzi nas, bo nikt go nie prosił o stempel i królik poznański do chrztu nie podawał dziecięcia naszego. Ale dziecię jak na złość rozwija się i rośnie, — biedny ten Solness!

Bez lamentów więc i męczeńskich grymasów wstępujemy w rok drugi istnienia naszego. Kark u nas twardy, nie ugiął się i wytrzyma jeszcze różne nawałnice. Tej hardości i twardości życzyłbym społeczeństwu mojemu w śmiertelnym boju, który go czeka już w najbliższym czasie, — życzyłbym jej ks. arcybiskupowi Stablewskiemu, bo wiem, że przykład prymasa oddziałać musi silniej, niż nasze wołanie, na szerokie tłumy.

Jeżeli zaś w tej chwili właśnie pod tak wysokim adresem wysyłam marginesową notatkę moją, to słowa spadają na papier pod świeżem wrażeniem głośnego zajścia z towarzystwem zabezpieczeń w Schwedt. Jak wiadomo zawarł ks. arcybiskup z towarzystwem tem umowę, na mocy której zobowiązał się zabezpieczyć w Schwedt parafialne ruchomości i nieruchomości archidyecezyi gnieznieńsko-poznańskiej, jeżeli zarząd zdecyduje się powierzyć agenturę katolikowi, władającemu polskim językiem i mieszkającemu w Poznaniu, oraz ofiarować 10 procent bonifikacyi do kasy kapitulnej. Kontrakt podpisano. W tej samej chwili jednak wszczęła się w niemieckim obozie za inicyatywą trzech inkwizytorów K. H. T. burza hałaśliwa, pełna piorunów, wichrów i błyskawic. Zaczęto wołać że Towarzystwo w Schwedt zdradza sprawę niemiecka, że popiera polonizacyę kresowych prowincyi, że działa przeciw interesom państwa i protestantyzmu, — jednem słowem sporządzono straszliwy akt oskarżenia, wypisując na czele znamienne słowa: „**K**-ał, **H**-ańba i **T**-rąd!“ Zlękło się nieco towarzystwo Schwedt burzliwych napaści, ulękł się i arcybiskup teutońskich hałasów, namyślano się chwilę i za wspólną zgodą zerwano umowę.

Przyznaję otwarcie, że niemile uderzyła mnie ta „miękkość“ ks. arcypasterza, bo lękam się, że buta niemiecka na takim gruncie wzrośnie jak na drożdżach. My Polacy grzeszyliśmy dotychczas konsekwentnie zbytkiem „uprzejmości“ i tą słowiańską chwiejnością, która rozzuchwala różnego kalibru brytany. „Liebenswürdige Leute“ mówią o nas Niemcy, a w duchu dodają „Schwächlinge“. Wobec krzyków niemieckich rozedrzeć kontrakt, to znaczy tyle, co rozpętać bezwstydność naszych najserdeczniejszych. Udało im się raz zakrzyczeć słuszność i wygardłować tryumf, — poczekajcie! spróbują drugi raz i dziesiąty, — zuchwalsi z dnia na dzień i bezwstydniejsi z dniem każdym.

Precz więc z kurtuazyą i miękkością polską, — żeby im pokażmy!

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Piast i Kościuszko *przez Janka z Grzegorzewic. Z rycinami. Poznań 1895. Nakładem K. Kozłowskiego.* Pod tym tytułem wyszła w tych dniach z druku nie wielka co do objętości, ale bardzo pożyteczna, nadobna i miła co do stylu, a co najważniejsza — nacechowana zacną tendencyą książeczka, którą z tego ostatniego właśnie względu ofiaruje narodowi polskiemu wydawca w setną rocznicę politycznego upadku Polski.

Ta to bolesna rocznica powinna była natchnąć niejednego z naszych pisarzy myślą dania narodowi obszerniejszego dziełka, które przedstawiłoby obraz upadku wielkiego niegdyś państwa polskiego i wskazało prostą, jasną i bitą drogę podźwignięcia się z tegoż upadku. Do nakreślenia wszakże takiego obrazu potrzebaby głębszych studyów i czasu dłuższego. To też autor i wydawca, nie rozporządzając tak obfitym materyałem, pragnąc atoli koniecznie choć małą dorzucić cegiełkę do tego bardzo trudnego przedsięwzięcia, dali to tylko, na co ich stało.

Mimo to wszystko, broszurka Janka z Grzegorzewic, choć i w tych nader szczupłych ramach, zaspokoić może pod każdym względem daleko idące wymagania inteligentnego i z dziejami obeznanego czytelnika. Nie jest to *multa*, ale zawsze *multum*, bo w książeczce o 57-miu stronach w oktawce dać ogólne, ale zawsze jasne pojęcie rozwoju i upadku narodu i uczynić ją zajmującą dla czytelników, ku temu potrzeba większego talentu pisarskiego i nie małej znajomości ducha dziejów naszych ojczystych. Książeczka jest tak napisana, że ją z wielkiem zainteresowaniem czytać może nietylko gruntowny znawca historyi polskiej, ale i każdy rodak, chociażby dzieje nasze były mu znane w najogólniejszych tylko zarysach.

Rzecz oczywista, że tego rodzaju pracę potrzeba było w odpowiednię przyoblec szatę, i tu autor okazał wielką bystrość w dobraniu stosownego kształtu, nadając mu barwę wielce nęcącą, zaznaczając na każdym kroku rutynę i talant artystyczno-pisarski.

Żadną przeto miarą nie można zastósować do niego zasadę, którą w swej skromności niejeden z pisarzów zwykł się posługiwać: „*in magnis voluisse sat est*“ — bo „*Piast i Kościuszko*“, to dobra nowelka, oryginalna, a mająca tem większą wartość, bo osnuta na prawdziwych faktach historycznych.

W krótkiej naszej wzmiance krytycznej niemożliwem nam jest biedz krok w krok za przewodnią myślą autora, baczniejszy nieco czytelnik zrozumie tendencyę jego narodowo-demokratyczną i pozna to, co główną stanowi podwalinę odrodzenia kraju naszego. Utwór Janka z Grzegorzewic polecamy usilnie Towarzystwu Czytelni Ludowych.

L. z Ł.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Ks. arcybiskup Stablewski ogłosił w „Kościelnym dzienniku urzędowym“ odezwę do duchowieństwa, piętnującą wyraźnie insynuacye i obelgi posła Tiedemanna z Babimostu, wymierzone przeciw jego własnej osobie i podwładnemu klerowi. Ks. arcybiskup zaleca duchowieństwu zaniechanie dalszych sprostowań w sprawie kłamliwych twierdzeń wspomnianego posła. — Katolicy niemieccy w W. Ks. Poznańskiem założyli protest uroczysty przeciw narzucaniu się posła Tiedemanna na opiekuna ich interesów wyznaniowych i wyrazili w formie adresu zupełne zaufunie do arcypasterza swego. — Pogłoska o spodziewanej nominacyi hr. Herberta Bismarka na ambasadora niemieckiego w Petersburgu nie potwierdza się. „Post“ donosi, że urząd ten otrzyma hr. Osten-Sacken. — Wojna między oficerami a redaktorami w Madrycie trwa w dalszym ciągu. Wszystkie redakcye obwarowały biura swoje przeciw ponownym napaściom. Rząd staje wyraźnie po stronie napastników wojskowych

Teatr i muzyka. Poniedziałkowy wieczór wokalno-humorystyczny, urządzony na sali Bazarowej przez panią A. Zimajer i pana A. Zawadzkiego, zgromadził dość liczną publiczność. Wdzięk słynnej diwy operetkowej wywierał znany swój urok na widzów, — p. Zawadzki natomiast jedynie monologiem „nauczyciela szkół ludowych“ wzbudził żywsze zainteresowanie. — W ubiegły czwartek wznowiono na scenie naszej rozwlekły dramat Kozłowskiego p. t. „Kazimierz i Esterka“. Publiczność nader skąpo zapełniła krzesła i loże. Z artystów zasługują na uznanie pp. Skirmunt, Królikowski. Rapacki, Sosnowski, Wróblewska i pełna poezyi Helena Zimajer. — Trupa polska, występująca przez dłuższy czas w Petersburgu, bawi obecnie w Rydze, gdzie doznaje znacznego powodzenia. W lecie osiędzie towarzystwo to pod kierownictwem Lucyana Dobrzańskiego w Warszawie, w teatrzyku „Wodewil“. — Poznańskie towarzystwe dramatyczne zabawi w mieście naszem do 1 maja. — „Towarzysz pancerny“, komedya M. Wołowskiego, nagrodzona na konkursie galicyjskiego Wydziału krajowego. wystawioną zostanie 27 bm. we Lwowie — O koncercie rodaka naszego p. Bernhardta w Berlinie, tak się wyraża znany z surowego sądu krytyk niemiecki Wilhelm Tappert: „Również w Sali Bechsteina po raz pierwszy wystąpił z własnym koncertem śpiewak p. Rodolfo Bernardi. Nazwisko włoskie nie wprowadza mnie w błąd co do narodowości artysty; jestto pewnie Polak, który odbył studya na południu. Z wyjątkiem kilku nierówności wymowa języka niemieckiego jest dobra i wyraźna, najbieglej jednak brzmiał język włoski, jak się przekonałem z nadzwyczaj efektownie odśpiewanego Prologu z op. „Bajazzi“. Organ z natury może trochę szorstki, potężny bas-baryton w doskonałej kształcony szkole, był prawie za silny na salę; mojem zdaniem nadaje się więcej na scenę, tam silny głos i silne efekta są na miejscu. Obecna publiczność z niezwykłym zapałem wyrażała swoje zadowolenie z siłą tryskających tonów Po odśpiewaniu Schumanna „Dwóch grenadyerów“ zmuszony został koncertant hucznemi oklaskami do odśpiewania nadprogramowej pieśni. Pan Bernardi dużo się nauczył i stara się śpiewać z uczuciem i ekspresyą.

Literatura i sztuka. „Berliński Tageblatt“ (z dnia 20. lutego 1895) tak charakteryzuje rzeźby artysty naszego Wład. Marcinkowskiego znajdujące się na wystawie w Berlinie:

„Z dzieł sztuki plastycznej odznacza się wybitnie kilka portretów w płaskorzeźbie Polaka Wł. Marcinkowskiego. Jest on mistrzem w stylu. I tak n. p. nie wymodelował portretu pani Parlaghy z realistyczną wiernością, lecz jako podziwu godne studyum, czarujące w pięknych linjach profilowych i miękkiem zaokrągleniu form. Tonowanie głowy i włosów w dwóch odcieniach wywiera swą subtelną delikatnością i kontrastem do barwy naturalnej marmuru w fragmencie sukni, wrażenie nadzwyczajnej szlachetności. W portrecie ks. arcybiskupa Stablewskiego występuje więcej realistyczne traktowanie, ale i tu złagodził artysta ostrość nader wyrazistych rysów. Ten sam rzeźbiarz zaprezentował nam jeszcze trzy główki dziecięce pełne życia i wdzięku.

Zjazdy i kongresy. Zjazd galicyjskich Towarzystw prawniczych odbędzie się 29 i 30 czerwca w Stanisławowie.

Zmarli:

Baron Schorlemer z Alst, słynny poseł stronnictwa Centrum, zmarł 17. marca.

Leontyna Halpertowa, głośna swego czasu artystka dramatyczna, zmarła 20. marca:

Leopold Sacher-Masoch, znany nowelista austryacki zmarł przed kilkunastu dniami. Jego typy postaci męzkich i kobiecych zszeregował znany psychjatra doktor Kraft-Ebing pod osobną rubryką „Sacher-Masochismus“.

Cezar Cantu, jeden z najsławniejszych dziejopisarzy włoskich, zmarł w Medjolanie przed kilku dniami.

Odpowiedzi Redakcyi.

K-Ro-F. 1) Korespondent nasz petersburgski opuścił stolicę rosyjską i dla tego „Listy z Petersburga“ nie pojawiają się w „Przeglądzie Poznańskim“. 2) Żądanych numerów już nie posiadamy.

Dr. K. Prenumeraty zniżyć nie możemy. Pismo nasze jest znacznie tańsze od polityczno-literackich tygodników warszawskich, a jak Szan. Pan sam przyznaje, rywalizować może śmiało z każdym tygodnikiem polskim.

Z. Z. Znowu odkrywamy ślady talentu, ale wiersz nie dojrzały jeszcze do druku.

A. Z. Lwów. Mimo sympatycznej tendencyi, nadesłanych utworów zamieścić nie możemy. Za wiele patosu, za mało poezyi.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

„Pewne Kółko na Kujawach“... 20 Mr. Sumę tę wraz z 200 Markami ofiarowanemi przez p. Niesiołowskiego z Szarleja złożono w Spółce pożyczkowej w Górze. Reszta t. j 499,75 Mr. złożona jest w Banku Spółek zarobkowych w Poznaniu. Fundusz zebrany dotychczas wynosi ogółem 719,75 Mr.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Sprostowanie

W artykule „Na Wyłomie“ zamieszczonym w przeszłym numerze, czytać należy zamiast „patrocie„ „patronacie.“

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Ludwik Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.